M.B.
im.
L. W.
w
Łodzi

W numerze: MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI *Zielone światło dla oświaty* ● STANISŁAW KASZYŃSKI *Kilka uwag o tłumaczach* ● *O naszej kinematografii i o aktorstwie filmowym* – opowiada Ludwik Benoit ● *Zewsząd o wszystkim* ● *Nowela* ● *Konkurs*

# odgłosu

HONOROWA ODZNAKA M. ŁODZI

10 (694)
7. III. 1971 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIV

*Fot. R. Kiedrowski*

TERESA WOJCIECHOWSKA

## GDY SIĘ MA SŁABĄ PŁEĆ...

Znów mamy kolejny 8 marca i znów, jak co roku przypominamy sobie ile to kobiet jest w Łodzi, jak są zapracowane, jak doniosłą rolę spełniają w rodzinie, w pracy, w społeczeństwie. Mężczyźni spełnią swój obowiązek, będą składać życzenia, najbliższym drobne upominki, być może spędzą w ich gronie wieczór, a następnego dnia wszystko wróci do normy. To znaczy zapomni się o różnicy płci. W naszej typowo męskiej redakcji też było jak co roku, to znaczy zdecydowano, że o kobietach musi napisać kobieta.

Od czego można zacząć? Chyba od samego początku.

— Kiedy matka wraca ze swym kilkudniowym dzieckiem ze szpitala, jest oszołomiona i zaszokowana i zapomina całą wiedzę teoretyczną, jaką zdobywała w ciągu dziewięciu miesięcy poprzedzających przyjście na świat dziecka. Ja sama choć byłam już po stażu pediatrycznym, nie pamiętałam jak przygotować mieszankę na pokarm. Więc opieka lekarska nad matką i dzieckiem zaczyna się w naszej poradni już od pierwszych dni przyjścia dziecka na świat.

Dr **Barbara Chądzyńska,** która wygląda na niewiele więcej niż 20 lat, jest już 11 lat lekarzem, pracuje w rejonowej Poradni D i Szpitalu im. Korczaka. To w sumie dziesięć godzin dziennie, ale dr Chądzyńska nie chce rezygnować ze szpitala. Robi właśnie specjalizację drugiego stopnia i szpital daje jej wiele wiedzy specjalistycznej. Już w czasie studiów zdecydowała, że będzie pediatrą. Wybrała kierunek trudny, odpowiedzialny i bardzo piękny. Pacjenci od 5 dnia do 15 roku życia. Pacjenci w poradni, a potem wizyty domowe. Tu czwarte piętro, tam szóste, przeważnie bez windy. To jest w tej pracy najcięższe. Ale dzieci są wspaniałymi pacjentami. Nie, nie boją się, jeśli znają lekarza, ba, nawet wybierają sobie opiekunów.

— Na co najczęściej chorują dzieci łódzkie?

— Najczęstsza dolegliwość to nieżyty górnych dróg oddechowych. Być może jest to związane z klimatem miasta.

W drodze do domu zakupy, potem przygotowywanie obiadu, porządki i własny 11-letni syn,

Dalszy ciąg na str. 5

BOGDA MADEJ

## PAPIERKI I ŻYCIE

**— Przewodniczącą Rady Zakładowej w „Wólczance" zostałam w marcu 1969 roku i wówczas niektórzy mówili: smarkata, za młoda jest, żeby pracować w Radzie. A przecież miałam wtedy trzydzieści lat** — powiedziała mi pani Iza Bednarowicz, ale powiedziała to dużo później, po pięciu godzinach mojego pobytu w fabryce. O ósmej rano, gdy oznajmiłam, że chciałabym przypatrzeć się jej pracy, nie była zachwycona moją propozycją. Było to tuż po dramatycznych wydarzeniach w łódzkich fabrykach, w czasie których załoga „Wólczanki" pracowała nieprzerwanie. Ale i tu atmosfera była napięta, nerwowa, trzeba było odpowiadać ludziom na wiele pytań, wyrosłych na gruncie konfliktów i spraw od dawna nie rozwiązywanych, a obejmujących również działalność związków zawodowych.

— Od czego zaczniemy? — zapytała z rezygnacją w głosie przewodnicząca i nie czekając na odpowiedź, położyła przede mną pękate teczki, papiery, zeszyty. Jak na początek — pomyślałam sobie — zapowiada się to mało interesująco. Mnie przecież chodzi przede wszystkim o sprawy ludzi, a tu tyle papierów.

— Pani się dziwi? Przecież u nas pracę przede wszystkim ocenia się na podstawie papierków. Musi być dokładnie zapisane na papierze i wysłane na czas. Co prawda główny nacisk kładziemy na załatwianie bieżących spraw, a papierki staramy się ograniczyć do tego, co niezbędne, ale i tak zabierają zbyt dużo czasu. A można by go przeznaczyć na bliższy kontakt z ludźmi.

Okazja do bliższego kontaktu nadarzyła się niemal natychmiast. Do pokoiku Rady wtargnęły trzy rozgniewane kobiety w kolorowych fartuchach. Najmłodsza płakała, jedna ze starszych od razu przystąpiła do rzeczy.

— Była tu u nas wczoraj redaktorka. One — pokazała na swoje towarzyszki — odpowiadały jej na pytania. Wydrukowali nazwiska, a dziś obie spokoju od rana nie mają, bo cała szwalnia na nie napadła.

— Dlaczego?

Kobiety mówiły prawie jednocześnie i coraz głośniej było w małym pokoiku. Wynikało z tego jasno, że szwaczki miały do swoich koleżanek pretensje o wypowiedź w gazecie.

— Idziemy do nich — powiedziała pani Iza. W szwalni wzięła do ręki gazetę i zaczęła odczytywać zdanie po zdaniu, pytając, czy kobiety mają jakieś zastrzeżenia do wypowiedzi koleżanek. I wtedy okazało się, że cała sprawa była zwykłym nieporozumieniem. Wróciłyśmy więc do Rady i zaczęłam dalej przeglądać dokumenty.

Dalszy ciąg na str. 4

## ze ŚWIATA

*Ponoć po to, aby:*

*— poinformować opinię publiczną o kierunkach rozumowania administracji,*

*— odnieść podstawową filozofię Waszyngtonu do konkretnych sytuacji,*

*— wyjaśnić społeczeństwu, jakie jest postępowanie rządu,*

*opublikowano w Stanach Zjednoczonych doroczny raport prezydenta Nixona o polityce zagranicznej USA. Obszerny, bo liczący 180 stron dokument zredagowany został bardzo niedbale i mało czytelnie. Błąd spostrzeżono i tym podobno należy tłumaczyć fakt, że jego upowszechnieniu towarzyszyło telewizyjne wystąpienie Nixona, o którym zdecydowano w ostatniej chwili. W niczym jednak nie zmieniło to sytuacji — polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych wyłożona została w sposób wielce skomplikowany. Powtarza się więc na łamach prasy amerykańskiej proste pytanie: co właściwie prezydent chciał powiedzieć?*

*Pierwsza, i chyba zasadnicza z wymienionego na wstępie względu, część raportu zawiera szereg stwierdzeń, określonych jako „d o k t r y n a N i x o n a". Przyznając, że świat lat siedemdziesiątych jest bardzo złożony, prezydent nie wyciągnął jednak odpowiadających temu stanowi wniosków. Po prostu przedstawił on jak Waszyngton wyobraża sobie urządzenie świata. Przy czym punktem wyjścia jest odgrywanie przez USA „ważnej roli w świecie". Znajdujemy więc w raporcie stwierdzenia:*

*o udostępnieniu atomowej tarczy każdemu krajowi z USA sprzymierzonemu lub „takiemu, którego przetrwanie uważamy za żywotne dla naszego bezpieczeństwa",*

*o śpieszeniu z pomocą militarną w każdej sytuacji, gdy w grę wchodzić będzie „agresja innego typu", bowiem żaden prezydent nie może zagwarantować, że „w przyszłe konflikty nie zostaną nigdy zaangażowani żołnierze amerykańscy",*

*o pomocy gospodarczej, udzielanej „odpowiednio do naszych interesów".*

*Ganiąc wielu Amerykanów, którzy z konfliktu w południowo-wschodniej Azji skłonni są wyciągać „błędne konkluzje" — raport stwierdza: „Oczywiście z doświadczenia wietnamskiego należy wyciągnąć szereg wniosków, dotyczących np. niekonwencjonalnej walki, roli innych krajów, charakteru zobowiązań, potrzeby społecznego poparcia. Ale są również wnioski, których wyciągać nie należy, np. że jedynym antidotum na szerokie zaangażowanie jest pełny odwrót".*

*Na doktrynę Nixona składa się również niezrezygnowanie z przywództwa, lecz — jak zapowiada raport — ustanowienie jego nowej formy. Jakiej — raport właściwie nie wyjaśnia, choć sugeruje, że chodzi tu o zróżnicowane podejście.*

*Dalej mówi się o tym, że minął okres przewagi rakietowo-atomowej USA nad Związkiem Radzieckim, ale że „Stany Zjednoczone będą, albowiem muszą, występować z pozycji siły. Siła Ameryki nie będzie, albowiem nie może ustępować żadnej innej".*

*Czytając tę część raportu nie znajdujemy nigdzie jasnej odpowiedzi na podstawowe pytania: Czy USA podtrzymują tezę o ich roli jako światowego żandarma, czy też będą ograniczać interwencje? Czy będą nasilać wyścig zbrojeń, czy też współdziałać w jego przyhamowaniu? Czy będą umacniać tendencję, do rozwiązywania konfliktów z pozycji siły, czy też rzetelnie dążyć do pokojowych rozstrzygnięć drogą rokowań?*

*Bardziej przejrzyście wyrażone jest natomiast stanowisko wobec problemów I n d o c h i n i B l i s k i e g o W s c h o d u. W pierwszym przypadku administracja waszyngtońska wypowiada się w gruncie rzeczy za przewlekłą wojną i utrzymaniem u władzy reżimu sajgońskiego, w drugim — za zachęcaniem do pokojowych rozwiązań przez uregulowanie problemu granic i zawarcie porozumienia o bezpieczeństwie. Znamienne, że Nixon mówi o niewielkich zmianach granic w stosunku do stanu sprzed czerwca 1967 oraz o problemie Palestyńczyków...*

*W swoim wystąpieniu telewizyjnym powiązał on zresztą oba konflikty, twierdząc, że dotrzymywanie zobowiązań przez USA w Wietnamie budzi zaufanie na Bliskim Wschodzie. Oczywiście, prezydent mówił o Izraelu.*

*Jeszcze jedno wymaga odnotowania — s t o s u n e k d o C h i n. Uwagę komentatorów zwrócił fakt, że po raz pierwszy rząd chiński nazwany został rządem „Chińskiej Republiki Ludowej". UPI twierdzi na tej podstawie, że USA posuwają się powoli w kierunku polityki dwóch państw chińskich, przy czym Waszyngtonowi zależy na utrzymaniu przedstawicielstwa reżimu taiwańskiego.*

*Jak oceniają komentatorzy raport i przemówienie Nixona? „Washington Evening News" pisze: „Ani w swym raporcie, ani w przemówieniu prezydent nie przedstawił żadnej nowej polityki". Inne dzienniki dodają, że opracowane na lata siedemdziesiąte założenia są zaledwie niewielką ewolucją tej polityki, która obowiązywała, począwszy od Trumana. W obu tych dokumentach znalazło się wiele gestów siły i nieco ogólnych deklaracji pokojowych. To mało, bardzo mało, jak na prawie 100 tysięcy słów, jakie poświęcono polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych.*

*W. SŁAWSKI*

● Zewsząd o wszystkim ● Zewsząd o wszystkim ●

# „Wyjście" z sytuacji...

**„FINANCIAL TIMES" — LONDYN**

Powierzchnia niewielkiej wysepki Culebro, zagubionej na wodach Morza Karaibskiego pomiędzy Puerto Rico a Saint Thomas, wynosi zaledwie siedem tysięcy akrów (1 akr równa się 0,4 ha), a jej ludność liczy sobie około stu osób. Już od przeszło 35 lat wyspą wstrząsają potężne wybuchy: amerykańska marynarka wojenna przemieniła Culebro w poligon ćwiczebny.

Jak relacjonują wyspiarze, żyją oni na własnym kawałku ziemi gorzej, niż kryminaliści w więzieniu. Nie wychodzą na wybrzeża wyspy, ponieważ eksplodują tam często zabłąkane pociski artyleryjskie i bomby, nie wolno im pływać na wodach przybrzeżnych ani łodziami rybackimi, ani spacerowymi. Na rafach koralowych, rozłożonych wokół wyspy, leżą masy niewypałów, kryjących śmiertelne niebezpieczeństwo.

Garstka mieszkańców Culebro już od lat znajduje się w tym rozpaczliwym położeniu. Waszyngton pozostaje głuchy na niezliczone protesty wyspiarzy, ponieważ Pentagon stoi na stanowisku, że może wykorzystać do własnych określonych celów każdy dowolny rejon Morza Karaibskiego. Gwoli prawdy trzeba wspomnieć, iż w roku ubiegłym marynarka wojenna USA zaproponowała wyspiarzom „wyjście" z sytuacji: przesiedlenie na sąsiednią wyspę Puerto Rico. Propozycja ta, rzecz jasna, wywołała ogromne wzburzenie wśród mieszkańców Culebro, którzy słusznie uważają, że to nie oni, a właśnie amerykańscy żołnierze i oficerowie powinni się niezwłocznie wynieść z wyspy.

Niedawno, z krótkiej informacji serwisu telegraficznego, szerokie rzesze społeczeństwa amerykańskiego dowiedziały się o dramatycznym losie wyspiarzy. W Waszyngtonie odbyły się nawet demonstracje, popierające żądania mieszkańców Culebro. Demonstranci pikietowali też budynek Pentagonu. Do Kongresu USA wpłynął projekt ustawy, który zabrania marynarce wojennej Stanów Zjednoczonych używania wyspy Culebro jako poligonu wojskowego. Jednakże komentatorzy polityczni mocno wątpią, aby została ona kiedykolwiek przyjęta.

# Krach fabryki rozwodów

**„WELTWOCHE" — ZURICH**

Meksykańskie miasto Ciudad Juarez, leżące w pobliżu granicy z USA, przez czterdzieści lat było prawdziwym rajem dla rozwodników obojga płci. Przyjeżdżało tu rokrocznie, zwłaszcza ze Stanów Zjednoczonych, ponad 17 tysięcy skłóconych par, by w błyskawicznym tempie otrzymać rozwód. Wystarczyło tylko „pomieszkać" w Juarez przez 24 godziny.

Adwokaci, specjalizujący się w biznesie „błyskawicznych rozwodów", prowadzili swych klientów z dworca do hotelu, stąd do sądu i z powrotem do hotelu. Po opłaceniu honorarium adwokatowi, w wysokości od 500 do 1000 dolarów, świadectwo rozwodowe otrzymywało się tego samego dnia i po kłopocie...

Obecnie, prowincja meksykańska Chihuahua, do której należy Juarez, wprowadziła rygorystyczne zarządzenie, kładące kres „fabryce rozwodów". Odtąd, aby uzyskać rozwód w Juarez, trzeba tu mieszkać co najmniej sześć miesięcy. Decyzję tę powziął prezydent Meksyku, którego zdaniem system „błyskawicznych rozwodów" przynosi duże szkody narodowi meksykańskiemu.

Adwokaci i biznesmeni miasteczka Juarez ratowali „meksykańską fabrykę rozwodów" do ostatniej chwili. Utrzymują oni, iż miasto straci na tym zarządzeniu około 7 milionów dolarów dochodu rocznie, nie mówiąc już o 2 milionach dolarów płynących do kasy władz municypalnych.

# Raj bez cła

**„L'EXPRESS" — PARYŻ**

W głębi placu św. Piotra w Rzymie, widać niewielką bramę, która otwiera drogę do Watykanu — miasta-państwa, którego niezależność zagwarantowały Włochy na mocy traktatów lateraneńskich z 11 lutego 1929 r. Od owych wrót, kręta droga, wijąca się pomiędzy maleńkimi sadami, wiedzie do niepozornej bocznicy kolejowej. Tutaj znajdują się magazyny, gdzie zwozi się i przechowuje różne wyroby przemysłowe oraz żywność. Aby znaleźć się w tym raju wolnym od cła, przeciętny rzymianin musi mieć specjalne bony, wydawane przez władze watykańskie. Jeden uprawnia do kupna żywności i napojów alkoholowych, inny do kupna zagranicznych papierosów i benzyny, a jeszcze inny — tkanin różnych asortymentów. Przekraczając bramy watykańskich magazynów, mieszkańcy Włoch, będących krajem członkowskim „Wspólnego Rynku", ulegają z miejsca zgoła ziemskim pokusom: wszystkie towary sprzedaje się tutaj po cenach 10—20 proc. niższych, niż w rzymskich sklepach.

Ongiś, dostęp do watykańskich magazynów był przywilejem wyższego duchowieństwa. Dziś rzecz przyjęła tak dalece komercyjny charakter, że — jak powiedziała korespondentowi „L'Express" pewna rzymska arystokratka — „robienie zakupów w Watykanie nie należy już dziś do dobrego tonu".

Odgłosy tej handlowej działalności „pod patronatem krzyża" trafiły na łamy prasy, co pozostaje w związku z oświadczeniem członka parlamentu holenderskiego, socjalisty Hendrika Vredelinga. Utrzymuje on, iż „watykański sklepik" przynosi znaczne straty krajom „Wspólnego Rynku". Tylko w 1969 roku watykańscy handlowcy zakupili w krajach „Wspólnego Rynku" 1310 ton masła śmietankowego (w Watykanie mieszka ogółem 900 osób). Ponieważ Watykan nie jest członkiem „europejskiej szóstki", eksporterzy masła musieli wpłacić z kasy krajów „Wspólnego Rynku" — na mocy zawartych umów — wyrównanie w wysokości 265.214 dolarów (na pokrycie różnicy w cenach przy sprzedaży produktów żywnościowych krajom trzecim, nie będącym członkami „WR").

Vredeling powiedział, że daleki jest od tego, by oskarżać Watykan o stworzenie spekulacyjnego „czarnego rynku" niemniej żąda wszczęcia energicznego dochodzenia w tej sprawie, podejrzewając, jak się wyraził, „przeprowadzanie wielkich operacji oszukańczych" na szkodę interesów „Wspólnego Rynku".

# „Free Europe" na usługach CIA

**„NEW YORK TIMES" — NOWY JORK**

Senator Clifford Case (republikanin ze stanu New Jersey) poinformował, iż w okresie ostatnich dwudziestu lat CIA (Centralna Agencja Wywiadowcza — red.) wydatkowała wiele milionów dolarów na działalność rozgłośni radiowych „Wolna Europa" i „Swoboda".

Senator, członek komisji budżetowej oraz komisji spraw zagranicznych powiedział, że zamierza wnieść projekt ustawy, w myśl której środki wydatkowane na działalność obu tych rozgłośni musiałyby być akceptowane przez Kongres w toku jego zwyczajowych czynności. Członek Kongresu Ogden Reade oświadczył, że i on przedłoży analogiczny projekt ustawy w Kongresie.

Rozgłośnia „Wolna Europa", uruchomiona w 1950 roku oraz rozgłośnia „Swoboda", która rozpoczęła emisję swych programów w rok później, posiadają w Monachium silne stacje przekaźnikowe, obsługiwane przez kilka tysięcy amerykańskich specjalistów technicznych, jak również uciekinierów z Europy wschodniej.

Radio „Swoboda" jest nakierowane wyłącznie na Związek Radziecki, zaś radio „Wolna Europa" — na pozostałe kraje wschodnioeuropejskie, z wyjątkiem Jugosławii. Tajne finansowanie tych rozgłośni przez CIA jest już od wielu lat tajemnicą poliszynela.

Obie organizacje mają biura w Nowym Jorku i twierdzą, iż środki na swoją działalność czerpią, jakoby, wyłącznie z licznych dobrowolnych datków obywateli amerykańskich, subsydiów korporacji i dotacji wielkich monopoli. Jednakże szczegóły tego finansowania utrzymują w tajemnicy.

W swoim oświadczeniu senator Case podkreślił, że zarówno „Wolna Europa", jak i „Swoboda" utrzymują, iż nie są organizacjami państwowymi, i że zostały założone z funduszów prywatnych. Jednakże — kontynuował senator — posiadane informacje świadczą wyraźnie, iż niemal wszystkie ich wydatki pokrywa CIA z własnych zasobów pieniężnych. Powiedział on również, że w minionym roku budżetowym Centralna Agencja Wywiadowcza przekazała obu tym radiostacjom, bez oficjalnej zgody Kongresu, 30 milionów dolarów.

Powołując się na raporty, przedłożone przez resort dochodów wewnętrznych, senator poinformował, iż w roku finansowym 1969 eksploatacyjne wydatki tych radiostacji wyniosły ogółem 33.996.336 dolarów. Z sumy tej Radio „Wolna Europa" rozchodowało 21.109.935 dolarów, zaś Radio „Swoboda" — 12.887.401 dolarów.

Podstawowa część budżetów radiostacji „Wolna Europa" i „Swoboda", czyli ponad 30 milionów dolarów rocznie, stanowią bezpośrednie subsydia Centralnej Agencji Wywiadowczej — powiedział Case. I dalej: Kongres nigdy nie dyskutował kwestii asygnowania funduszów na działalność Radia „Wolna Europa" i „Swoboda", chociaż na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat wydano na nie setki milionów dolarów ze środków państwowych.

Senator zwrócił uwagę, iż Radio „Wolna Europa" prowadzi co roku, pod egidą Związku reklamy, szeroką kampanię zbiórki społecznych darów pieniężnych. Co roku też na przeprowadzenie jej, za pośrednictwem środków masowej informacji, wydaje się od 12 do 20 milionów dolarów. Mimo te wszystkie apele, społeczeństwo ofiarowuje na ten cel nie więcej, niż sto tysięcy dolarów.

Senator Case przypomniał, że w 1967 roku, po ujawnieniu, iż CIA tajnie finansuje międzynarodową działalność Krajowego Związku Studentów Stanów Zjednoczonych, prezydent Johnson powołał komisję do zbadania tej sprawy. Na czele komisji stanął Nicolas Katzenbach — były zastępca sekretarza stanu, a w jej skład weszli: Richard Holmes — dyrektor Centralnej Agencji Wywiadowczej oraz John Gardner — min. zdrowia, oświaty i ubezpieczeń społecznych.

„Komisja rozstrzygnęła wszystkie trudne kwestie — powiedział pewien wyższy urzędnik administracji — ale Johnson, pragnąc otrzymać jak najszybciej raport, który miał uspokoić Kongres i opinię publiczną, wywierał na nią tak silny nacisk, że nie zdążyła ona wyjaśnić sprawy finansowania tych radiostacji. Problem ten przekazano do rozwiązania innej komisji..."

Z dalszych informacji wynika, że druga komisja — której składu personalnego nie chciano ujawnić — pracowała ponad rok, po czym raport — jako ściśle poufny — wręczyła Johnsonowi. Ten odłożył go do lamusa i, koniec końców pozostawił ten problem do rozwiązania administracji Nixona.

W następnym numerze **„ODGŁOSÓW"**:

★ **A. MAKOWIECKI** — Dialog z cieniem

★ **Z. TARNOWSKA** — ...przywieźli człowieka

★ **B. SZTAJNERT** — Mundek

oraz felietony, recenzje, nowela kryminalna.

MIECZYSŁAW WOŹNIAKOWSKI

# ZIELONE ŚWIATŁO DLA OŚWIATY

W ubiegłym roku tematyka szkolna obrodziła nadzwyczaj obficie. Rzecz charakterystyczna, że obok artykułów typowo okolicznościowych z okazji zakończenia lub rozpoczęcia roku szkolnego, obok informacji rzeczowych dotyczących takich spraw jak przebieg egzaminów do szkół średnich lub wyższych, liczb absolwentów różnych typów szkół na tle potrzeb kadrowych, budownictwo szkolne — pojawiały się również artykuły alarmujące opinię publiczną niedomaganiami naszego szkolnictwa. Alarm, generalnie rzecz ujmując, dotyczył niedostatecznych wyników pracy szkół zarówno w dziedzinie wychowania, jak nauczania, konserwatyzmu, skostnienia szkoły i upadku społecznej rangi zawodu nauczycielskiego.

Wypowiadano sądy, wobec których nie możemy pozostać obojętni. Jeśli bowiem są fałszywe, niesłuszne czy krzywdzące, muszą zostać sprostowane, może nawet napiętnowane, jeżeli odpowiadają prawdzie, powinny spowodować refleksję: co dalej?

Powszechnie stwierdza się bardzo słabe przygotowanie kandydatów do szkół wyższych, na to samo narzekają nauczyciele szkół średnich w stosunku do absolwentów szkół podstawowych.

Myślę, że tu nie ma co zamazywać sprawy. Jeżeli publikowane „kwiatki" z odpowiedzi egzaminacyjnych (jak choćby prof. E. Nahlika w popularnym „Przekroju") są w jakimś stopniu przejawem słabej odporności nerwowej, czy psychicznej kandydatów, to i tak musimy stwierdzić, że najwyższy czas przywrócić odpowiedzialność nauczyciela za postawione oceny i skończyć z optymistycznymi procentami, które radują statystykę, ale nie mają pokrycia w treści.

We wszystkich typach szkół i we wszystkich klasach, ale przede wszystkim, moim skromnym zdaniem, w klasach najmłodszych szkoły podstawowej. Tam bowiem nauczyciel ma największe stosunkowo możliwości stuprocentowej realizacji programu. I kategorycznie nie może znaleźć się w klasie piątej dziecko, które nie potrafi płynnie czytać, napisać poprawnie krótkiego opowiadania i samodzielnie rozwiązać łatwego zadania tekstowego. Inaczej — te podstawowe braki wloką się z roku na rok, dochodzą do nich nowe i możliwość jakiego takiego opanowania narastającego materiału nauczania staje się całkiem iluzoryczna, a że strzec się trzeba jak ognia zbyt wysokiego procentu odpadu i niepromowania — procenty utrzymuje się przyzwoite, ale poziom ogólny w istocie rzeczy spada w każdej następnej klasie coraz bardziej. Oczywista, zjawisko i jego źródła naszkicowane tu zostały tylko bardzo powierzchownie, ale nie o analizę pełną ani naukową mi chodzi.

A sprawa druga — konserwatyzmu szkoły?

Wytyka się szkole, że wpadła we własne sidła w pogoni za rosnącą wiedzą, rozdyma programy monstrualnie, absolutnie ponad możliwości przeciętnego ucznia, że powinna wreszcie naprawdę kształcić umiejętności uczenia się i myślenia, że nie rozwija talentów a przeciwnie — przytłacza je, niweluje do urojonej „przeciętnej", ma jednakie propozycje nauki dla wszystkich, że jest głucha na wskazania psychologów o wielkich możliwościach przyswajania wiedzy i umiejętności u małych dzieci przed siódmym rokiem życia itd. itd.

Cóż, można by się zasłonić truizmem, że szkoła w swojej istocie jako instytucja przekazująca prawdy uznane, znane i sprawdzone musi być w gruncie rzeczy nieco zachowawcza, nie — rewolucyjna, nie — goniąca za nowoczesnością. Można by tu zacytować choćby Chałasińskiego: „Szkoła amerykańska, **jak w ogóle szkoła całego świata** (podkreślenia moje M. W.) nic nowego nie wnosi do społeczeństwa, nie odgrywa roli twórczej, lecz odwrotnie: odtwarza społeczeństwo ze wszystkimi jego wadami i konfliktami". (J. Chałasiński „Szkoła w społeczeństwie amerykańskim" s. 531—532).

Można by tak cytować, powoływać się, ale — po co?

Na całym świecie, w obliczu coraz szybszego postępu techniki i nauki, uświadamia się rosnące gwałtownie nienadążanie szkoły, krach jej całego uświęconego od wieków systemu klasowo-lekcyjnego z jej archaicznym arsenałem ocen i promocji, powtarzania całych lat de novo, z jej usztywnionym zestawem przedmiotów obowiązujących każdego ucznia bez względu na jego możliwości, szczególne uzdolnienia i dalsze perspektywy nauki bądź pracy, poszukuje się dróg jej radykalnej przebudowy na miarę wielkich przeobrażeń gospodarczych, społecznych i kulturowych współczesnego świata.

Nasze „reformy" szkolne drepczą, pożal się Boże, wokół takich spraw jak: liceum zróżnicowane czy nie, zajęcia fakultatywne (kolejny grzyb w barszczu), klasy o zwiększonym wymiarze godzin jakiegoś przedmiotu (?!), podział roku szkolnego na trzy zamiast na cztery okresy, czy owe kiepską polszczyzną zalatujące koncepcje szkół „wiodących", „klasopracowni" itp., itp.

Pewnie, że nie można przeprowadzić generalnej przebudowy szkolnictwa bez licznych i udanych doświadczeń, bez przygotowania nauczycieli. Ale jak dotąd, nie widzimy nawet naprawdę śmiałych, na naukowych podstawach opartych eksperymentów, które nie powinny być kopiowaniem obcych prób, ale niechby te doświadczenia uwzględniały.

Wreszcie sprawa trzecia tak mocno przez naszą prasę poruszona: spadek rangi społecznej nauczyciela. W. Grochola („Polityka" Nr 37 z 12. IX. 1970 r.) pisała w art. pt. „Nauczyciele": „...a ile funkcja nauczyciela notowana jest na ogół w społeczeństwie wysoko, o tyle sam nauczyciel i jego osobista sytuacja życiowa traktowana jest jako podrzędna i nieatrakcyjna". I nieco dalej: „...podnosi się wyraźnie prestiż szkoły, wydaje się jednak, że nie jest to wzrost autorytetu nauczyciela, ale szkoły jako instytucji, która władna jest otworzyć lub zagrodzić drogę do życiowego awansu młodego człowieka". Nic dodać, nic ująć! Powołując się na badania dr M. Jakowickiej autorka artykułu pisze, że ...„zaledwie 28 proc. młodzieży, przygotowującej się do pracy nauczycielskiej ma do zawodu tego stosunek pozytywny, podczas gdy 50 proc. wybiera ten zawód z przypadku, z konieczności życiowej, z powodu braku innych możliwości itd.". Nic dziwnego, że w konkluzji stwierdza: „Do nauczycielstwa idą więc albo pasjonaci albo, co bardziej typowe, najsłabsi, przy czym najobrotniejsi z tych ostatnich w nadziei, że po drodze być może uda im się urządzić inaczej i lepiej".

Sprawę upadku szkoły (na skutek obniżania się autorytetu nauczyciela) poruszył w felietonie „Dobór negatywny" KTT w 36 numerze „Kultury" z 6. IX. 1970 r. Pisał tam m. in.: ...„nasza kadra nauczycielska od pewnego czasu kształtuje się pod przemożnym wpływem doboru negatywnego".

Dosyć cytatów. I nie mam zamiaru dokonywać analizy tych i innych artykułów, wyważać ich racji. Ale coraz częstsza krytyka szkoły i nauczyciela, analizowane w prasie takie choćby sprawy, jak nadużycia popełniane przez dyrektora liceum i naczelnika jednego z kuratoriów („Parada wstydu") czy samobójstwo uczennicy („Są pogrzeby w niedziele") — „Polityka", powinny spowodować głęboką analizę tych zjawisk, odsłonić ich źródła.

Społeczeństwo pragnie mieć dobrą szkołę i również — dobrych nauczycieli. Wyścig narodów i państw w dziedzinie postępu gospodarczego, rozwoju techniki, nauki, kultury a więc i oświaty — trwa.

Bierzemy w nim udział. Musimy dotrzymać kroku innym, więcej — musimy dopędzić światową czołówkę. To jest imperatyw naszych czasów. Winniśmy spojrzeć krytycznie i odważnie prawdzie w oczy, zdecydować się na głęboką analizę przyczyn upadku rangi społecznej nauczyciela, niedostatecznej pracy szkół, i wyciągnąć z tej analizy konkretne wnioski, zainicjować, na naukowych podstawach oparte śmiałe eksperymenty organizacyjne, programowe i dydaktyczne. Nauczyciel od dość dawna oczekiwał od naszych władz zajęcia wyraźnego stanowiska w tych sprawach.

Z powołanym ostatnio zgodnie z zaleceniem Biura Politycznego partii Komitetem Ekspertów dla opracowania raportu o stanie oświaty w Polsce, tudzież wniosków na najbliższe lata, społeczeństwo polskie wiąże duże nadzieje.

Osoba prof. J. Szczepańskiego, przewodniczącego tego Komitetu, stanowi rękojmię poważnej, rzeczowej pracy. Z wywiadu przeprowadzonego z nim („Głos Nauczycielski" z 7. II. 1971 r.) dowiadujemy się, że... „przygotowanie raportu wraz z propozycjami zmian i ulepszeń oraz opracowaniem przyszłościowego modelu systemu oświaty potrwa co najmniej półtora roku do dwóch lat".

Rozumiemy to i będziemy czekali. Nie wątpiąc, że Komitet wysłucha głosów społeczeństwa. Nauczycieli, wychowawców i pracowników administracji szkolnej również.

**Nowy konkurs • Nowy konkurs • Nowy konkurs • Nowy konkurs**

## WIELCY ŁODZIANIE

Drodzy Czytelnicy! Oto ostatnie już zadanie w naszym konkursie. Zaprezentowaliśmy 10 sylwetek postaci historycznych, związanych z Łodzią. Jak dotąd otrzymaliśmy ponad tysiąc odpowiedzi i spośród nich wylosujemy trzy główne nagrody w postaci bonów towarowych oraz pięć wyróżnień książkowych (wydawnictwa albumowe).

W ciągu najbliższych 10 dni oczekujemy na kartki pocztowe z odpowiedziami na dzisiejsze zadanie oraz — jeśli ktoś posiada poprzednie numery „Odgłosów" — na zadania publikowane w ciągu minionych tygodni.

Odpowiedzi — wyłącznie na kartkach pocztowych — należy nadsyłać na adres: **„Ogłosy", Łódź, Piotrkowska 96 — „Wielcy łodzianie".**

Wśród uczestników konkursu rozlosowane będą nagrody w postaci bonów towarowych:

**I nagroda — 2.000 złotych**
**II nagroda — 1.500 złotych**
**III nagroda — 1.000 złotych**

oraz pięć wyróżnień w postaci cennych wydawnictw albumowych.

### ZADANIE KONKURSOWE nr 10

Urodził się w Łodzi w 1901 roku. Działacz ruchu robotniczego — od 1922 roku w KZMP, od 1924 w KPP. W roku 1936 wyjechał do Hiszpanii gdzie walczył w szeregach Brygad Międzynarodowych. Był dowódcą Brygady im. J. Dąbrowskiego. Następnie wyjechał do Związku Radzieckiego, skąd w grudniu 1941 roku przerzucony zostaje przez linię frontu na teren Polski. Ginie w nie wyjaśnionych okolicznościach w grudniu 1941 roku.

Łódź uczciła pamięć tego rewolucjonisty i żołnierza nadaniem jego imienia zakładom mechanicznym, których nazwa sygnowana jest skrótem „Jotes". Jego imię nosi również szkoła podstawowa przy ul. Piotrkowskiej 187.

**Jak się nazywał ten rewolucjonista i dąbrowszczak?**

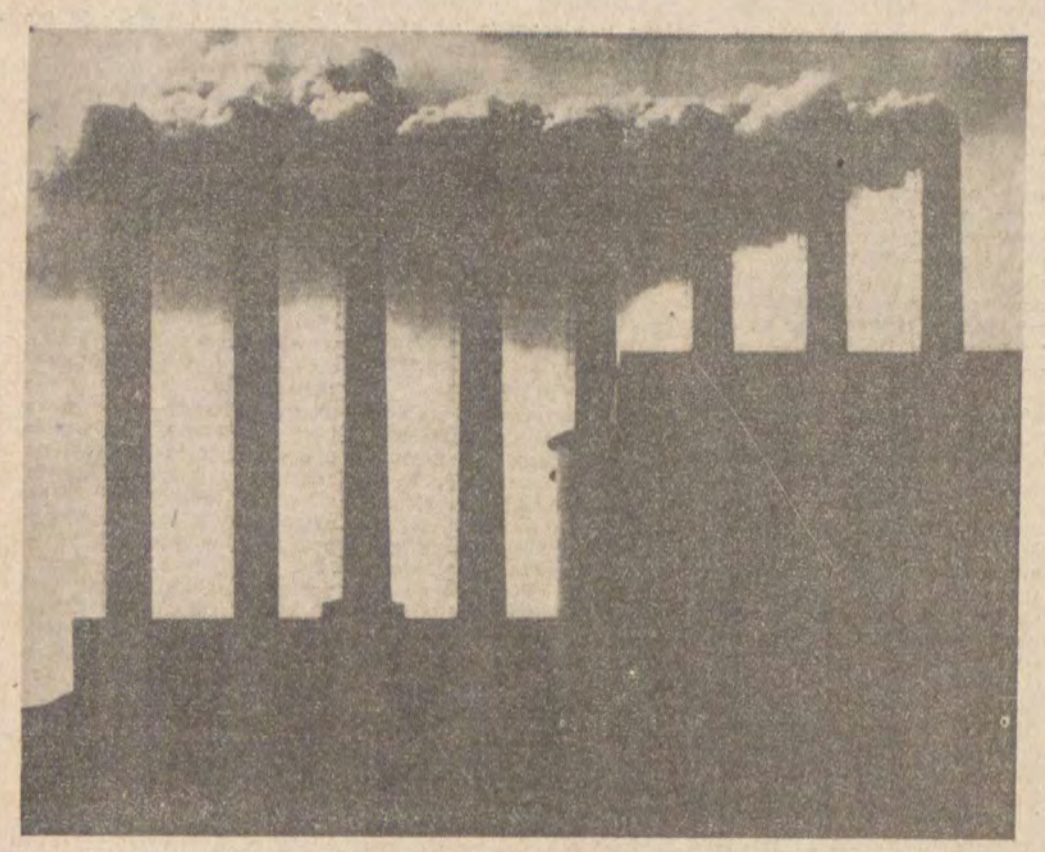

# PAPIERKI I ŻYCIE

Dalszy ciąg ze str. 1

**„Rada Zakładowa łódzkiej „Wólczanki" składa się z 17 członków, wśród których jest 11 robotnic i robotników oraz 6 pracowników umysłowych. Dwie członkinie Rady Zakładowej są pracownicami etatowymi: Izabela Bednarowicz — przewodnicząca i Renata Krzemińska — skarbnik. Pracownicy zakładu podzieleni są na 22 grupy związkowe. Każda z nich ma swojego męża zaufania, co skurat w przypadku kobiecej załogi „Wólczanki" brzmi nieco zabawnie, ale do tej pory nikt nie wymyślił lepszej nazwy. Przy Radzie Zakładowej działa osiem komisji: socjalno-bytowa, kobiet pracujących, współzawodnictwa, kulturalno-oświatowa, młodzieżowa, mieszkaniowa, ochrony pracy oraz działająca poza zakładem komisja do walki ze spekulacją".**

Przepisując do notesu dane o Radzie w „Wólczance" cały czas się zastanawiałam, co o jej pracy sądzą ludzie. Przecież w ostatnich tygodniach pod adresem związków zawodowych skierowano wiele zastrzeżeń i uwag krytycznych. W Łodzi zdarzały się przypadki wyrażenia przez mężów zaufania votum nieufności radom zakładowym. W krytyce związków nie negowano pozytywnej działalności w sprawach socjalnych, kulturalnych i turystyce. Przeciwnie — zarzucano, że rady zakładowe głównie do tego ograniczały swoje zainteresowania. A w „Wólczance?".

Najpierw w papierach znalazłam: w ubiegłym roku na lipiec i sierpień FWP przysłał do „Wólczanki" 30 skierowań.

— Czy wam to wystarcza? — zapytałam następnie przewodniczącą.

— A skąd. W „Wólczance" urlopy przypadają głównie na lipiec i sierpień. Wtedy potrzeba nam w ciągu miesiąca od 80 do 130 miejsc, gdyż nie mamy własnego ośrodka wypoczynkowego. Dopiero w tym roku wynajęliśmy prywatny dom w Jeleśni koło Żywca. Trochę nam to rozładuje szczyt urlopowy, bowiem na każdy z tych dwu miesięcy przybędzie nam po 60 miejsc.

Kiedy w parę godzin później rozmawiałam w krojowni z robotnicami na ten temat, to usłyszałam:

— Dziesięć lat już pracuję i wczasów jeszcze nie miałam.

— Chcemy dostawać wczasy w lipcu i w sierpniu, kiedy w fabryce jest przerwa na remont.

— Listę wywiesza się wtedy, jak już wczasy są przydzielone. A skąd możemy wiedzieć, czy nie było ich więcej?

Następnym pozytywem, który znalazłam w dokumentach, było gospodarowanie funduszem, jakim dysponuje Rada Zakładowa.

**„W roku 1970 Rada Zakładowa wypłaciła zapomogi dla 47 pracowników, na łączną sumę 21.100 złotych i dla 17 emerytów — na sumę 7.800 zł. W dochodach RZ na tenże rok największa pozycja — 139.000 — to wpływy ze składek członkowskich. W wydatkach — opieka socjalna i pomoc dla członków związku — 65.000 zł, turystyka i wypoczynek po pracy — 50.000 zł, działalność kulturalno-oświatowa — 39,5 tys. złotych. W roku 1970 w „Wólczance" z inicjatywy Rady zorganizowano koła TKKF i PTTK. Z funduszu RZ zakupiono sprzęt turystyczny i sportowy. Z 31 wycieczek skorzystało około 850 osób".**

Notuję dalej:

**„W 1968 roku w „Wólczance" wygospodarowano dwie sale na jadalnie. W 1969 roku oddano pomieszczenia na szatnie. Od kilku lat w zakładzie prowadzi się gimnastykę rekreacyjną. Robotnice mają przerwę na śniadania i podwieczorek. W najbliższym czasie będą korzystać z zup mięsnych i herbaty".**

— Czy wiecie na co idą pieniądze z waszych składek członkowskich? — zapytałam robotnic z krojowni.

Nie wiedziały.

Materiał, jaki do tej pory zebrałam w „Wólczance", potwierdził mi pierwszą część krytycznej opinii robotników o pracy związków zawodowych w fabrykach. Tu w „Wólczance" w sprawach socjalnych zrobiono wiele. Ale robotnicza krytyka wskazuje, że to przecież nie wystarcza.

— Czy ograniczyliście się tylko do takiej działalności?

— No, chyba nie — odpowiada przewodnicząca — Mogę pani opowiedzieć o problemach jakie ludzie zgłaszają do rady. Na przykład pracującym matkom, mającym dzieci do lat 14, należą się ustawowo dwa wolne dni w roku. Za te dwa dni pracownicom umysłowym płaci się, robotnicom — nie. Przekazaliśmy niedawno do Zarządu Okręgu w Łodzi postulaty załogi w tej sprawie. Albo inny problem. Bezpłatny bilet dla powracających z urlopu przysługuje, jeśli urlop wynosi przynajmniej 7 dni. A przecież często pracownik bierze dwa dni z urlopu, żeby na przykład pojechać do syna na przysięgę. Wiemy, komu wtedy taki bezpłatny bilet trzeba by dać. Ale przepisy nie pozwalają. Przydałoby się aby władze związkowe miały do nas większe zaufanie i pozwoliły na swobodniejsze interpretowanie przepisów.

— To są chyba tylko niektóre z problemów, jakie nurtują załogę?

— Tak, bo są to przede wszystkim sprawy całej załogi, ale obok nich spotykamy się ze sprawami poszczególnych ludzi. Interweniujemy w kwaterunku, w spółdzielniach mieszkaniowych, a nawet jeśli trzeba pomóc umieścić dziecko w jakiejś szkole. Każdy z nas wie z praktyki, że bez znajomości niewiele można załatwić. Ja uważam, że szwaczki powinny mieć „protektorów" w naszych osobach.

Kolejny telefon z tym samym pytaniem: — Pani Izo, co z premiami, miały być wypłacone w tym tygodniu — utwierdził mnie w przekonaniu, że jednak najczęściej ludzie zgłaszają się do Rady w sprawach zarobków. Bo w „Wólczance" tak samo, jak w innych zakładach istnieje w tej materii sporo nieprawidłowości. Ba, nawet paradoksów. Jakże inaczej nazwać fakt, że przy produkcji długoseryjnej szwaczka zarabia więcej, niż przy produkcji eksportowej czy modelowej, wymagających o ileż większych kwalifikacji i nakładu pracy? I niewątpliwie zasługą również Rady Zakładowej jest fakt, że kierownictwo „Wólczanki" stara się w ramach istniejącego funduszu płac uporządkować te sprawy, że w wyniku przeprowadzonej w ubiegłym roku wewnętrznej rewizji norm, zarobki się nieco wyrównały. Dalsze rozwiązanie tych spraw w zakładzie wymagać będzie jeszcze czasu.

— Przy podziale premii jest wprawdzie mąż zaufania — mówiły w rozmowie ze mną robotnice — ale my byśmy chciały, żeby na tablicy pisało, kto, ile i za co otrzymał premię. Bo do tej pory dowiadujemy się o tym z plotek po wypłacie.

— A czy pamiętacie, kto jest w Radzie Zakładowej? — kontynuowałam rozmowę.

— Pani Bednarowicz i Krzemińska — odpowiadały mi zgodnie.

— Ale w Radzie macie 17 osób. Znacie je?

— Pani Marcińczak — powiedziała któraś z wahaniem

— Co ona w Radzie robi?

— Nie wiemy, bo ona jest z innej zmiany.

I dopiero w toku dalszej rozmowy jedna ze starszych robotnic powiedziała:

— Członek Rady powinien nam mówić, co Rada robi. A bywa i tak, że człowiek się pyta i nic w odpowiedzi nie usłyszy.

— A przecież w zakładzie wszystkie sprawy są nasze.

— Ja jestem mało zorientowana, co Rada robi i dlatego nie mogę powiedzieć, czy Rada pracuje dobrze, czy źle, bo nie wiem — dodała inna.

— Czy wybrałybyście tę samą Radę jeszcze raz?

— Jak się ktoś już zadomowi, to nie jest dobrze — powiedziała jedna z robotnic.

— Czy zostałaby pani w Radzie jeszcze przez jedną kadencję — zapytałam już wieczorem Izę Bednarowicz. Powiedziała, że nie wie. Owszem, ma satysfakcję z tego, co robi i zadowolenie, jeśli uda się jej pomóc ludziom. Ale jest także wiele przykrych momentów. Powiedziała, że jej zdaniem, zmiany w radzie winny być co kadencję. Bo najpierw jest okres zapoznawania się z pracą, potem przychodzi entuzjazm — „czego to ja nie zrobię" — a jeszcze później trudności jest coraz więcej.

— I wcale nie jestem pewna, czy za rok, dwa nie zaczęłabym wszystkiemu potakiwać — powiedziała na koniec.

Już później, porządkując notatki zastanawiałam się nad wnioskami z przeprowadzonych rozmów. Być może niektórym wyda się, że pozytywny w części przykład związkowej pracy w „Wólczance" nie jest na miejscu w chwili, gdy powszechnie krytykuje się związki zawodowe. Moim zdaniem, byłoby to nieporozumienie. Skutkiem krytyki ma być przecież zmiana na lepsze. Robotnicy chcą, aby ich związki najpełniej reprezentowały ich interesy. Dlatego nie negują tego, co w pracy związków było dobre. I w „Wólczance" nie można przekreślić dotychczasowych osiągnięć Rady Zakładowej. Trzeba natomiast zrobić wszystko, aby związkowa działalność była jeszcze lepsza i skuteczniejsza. Po pierwsze — robotnice utożsamiają radę zakładową z urzędującymi dwiema osobami. Dla nich Rada, to po prostu jeszcze jedno pomieszczenie biurowe, a nie organ związków zawodowych. Taka sytuacja wynika z braku informacji o pracy związku w fabryce. Byłoby może dobrze, aby w zakładzie wisiały listy z pełnym składem Rady Zakładowej, a w wydziałach i na zmianach informacja o ludziach, którzy tu pracują, i pełnią różne społeczne funkcje. Już sam fakt takiej informacji stanowiłby podstawę do oceny ich działalności. Po drugie — w metodach pracy związkowej instancji powinien również powszechnie obowiązywać dialog, dzięki któremu związkowe organy mogłyby w sposób szybki i skuteczny reagować na wszystkie aktualne sprawy załogi. A obok tego wyjaśniać rodzące się nieporozumienia.

**BOGDA MADEJ**

MIECZYSŁAW GUMOLA

# SIŁACZKI I JUDYMOWIE ZIEMI OBIECANEJ

ROK TEMU ODBYŁ SIĘ I ZJAZD SIŁACZEK I JUDYMÓW ZIEMI ŁÓDZKIEJ. BYŁO TO SPOTKANIE PASJONUJĄCE I BARDZO POTRZEBNE, STWORZYŁO MOŻLIWOŚĆ WZAJEMNEGO POZNANIA LUDZI DZIAŁAJĄCYCH W RÓŻNYCH ZAKĄTKACH WOJEWÓDZTWA W ZMIENIONYCH WARUNKACH NIE ZNIKNĘŁY BOWIEM TRUDNOŚCI NIEODMIENNIE TOWARZYSZĄCE SPOŁECZNEMU DZIAŁANIU. ZAPAŁ, ZAANGAŻOWANIE I OFIARNOŚĆ DZIAŁACZY SPOŁECZNYCH TRAFIAŁY NIEJEDNOKROTNIE NA OBOJĘTNOŚĆ ŚRODOWISKA I MIEJSCOWYCH WŁADZ. ZNIECHĘCENIE I REZYGNACJA OPANOWYWAŁY WTEDY NAJOFIARNIEJSZYCH Z OFIARNYCH.

**„Po co mu to, co z tego chce mieć, co pragnie na tym skorzystać?"** — pytania te, raz wypowiadane szeptem po kątach, kiedy indziej całkiem głośno, za plecami społeczników, nie należały do odosobnionych. Działacz społeczny zgłaszał propozycje, występował z konkretnymi, a nie zawsze dostrzegalnymi i uwzględnianymi w kolejce do załatwienia potrzebami środowiska. „Wychylał się", naruszając spokój niejednego urzędu i instytucji. Jeśli nie był dość przezorny i ostrożny, nieraz porządnie obrywał za swą nadaktywność. Zostawał wtedy sam, przestawał wierzyć w sens społecznej roboty. Jeśli mimo to liczba ludzi społecznie zaangażowanych zwiększa się, to dlatego, że człowiek, któremu nieobojętne jest to, co obok niego się dzieje, nie występuje już w pojedynkę, nie musi liczyć na własne tylko siły, dar przekonywania, poświęcenia. Społecznik działa dziś najczęściej w zespole, w organizacji, stowarzyszeniu, kole zainteresowań, staje się jakby Judymem zbiorowym o zwielokrotnionych siłach i możliwościach.

Jednak i ten zespołowy społecznik napotyka na trudności i problemy, co jest rzeczą zrozumiałą, gdyż przekształcając rzeczywistość musi napotykać na jej opór. Czy powinien zostawać wtedy sam?

Zjazd Siłaczek i Judynów był więc konkretną formą uznania dla działaczy społecznych, ich dorobku i poświęcenia i początkiem czegoś nowego, trwalszego. W tym miejscu należałoby zadać pytanie, jakie winny być cele następnych zjazdów. Czy powinny stać się one spotkaniami dyskusyjnymi, czy też inicjować nowe poczynania kulturalne? Wymiana poglądów na ten temat odbywa się wśród działaczy Zarządu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej.

Punktem wyjścia są dla niej wnioski z ubiegłorocznego spotkania i aktualna sytuacja. Liczne kontakty terenowe prowadzą do stwierdzenia, że ruch społeczny koncentruje się na zagadnieniach kultury i oświaty. Na małą ilość zobowiązanych do zaspokajania potrzeb nie sposób się uskarżać. Trudno byłoby nawet wymienić wszystkie instytucje, organizacje, placówki różnego rodzaju, powołane do wychowawczego i kulturalnego oddziaływania na środowiska. A rezultaty? W skali względnej subiektywnie ocenianej niemałe, zaś w skali bezwzględnej — co mógł niedawno każdy przeczytać w „Perspektywach" — województwo łódzkie plasuje się na jednym z ostatnich miejsc w wydatkach na cele kulturalne i upowszechnianie kultury. Wydaje się, że duża ilość instytucji, organizacji i placówek w tym przypadku wcale nie zapewnia zespolonego działania i realizacji wspólnego programu.

## Dalszy ciąg ze str. 1

który również wymaga opieki. O dziewiątej wieczorem można zasiąść do pracy naukowej. Mąż pyta: Kiedy ty wreszcie przestaniesz się uczyć? Odkąd jesteśmy małżeństwem, uczysz się bez przerwy.

Zdaje się, że na to pytanie nie będzie odpowiedzi. Moje jest łatwiejsze.

— Co najbardziej utrudnia Pani życie, jakie jest Pani życzenie?

— Więcej czasu dla pacjentów, mniej dla papierków. Przyjęciu i zbadaniu dziecka towarzyszy cała lawina papierków do wypisywania i ostemplowania. Opisanie dziecka, wypisanie recept, zwolnienia dla matki, zwolnienia dla dziecka, oddzielnego dla zajęć na WF, oddzielnego na lekcje angielskiego i tak dalej i dalej. To istna zmora.

* * *

W sklepach dzień kobiet rozpoczyna się znacznie wcześniej. Trzeba przygotować upominki, będą je kupować zakłady pracy, no i indywidualna męska klientela. Największy łódzki dom towarowy „Uniwersal" był przygotowany do tego święta już w lutym.

— Nasz dom zatrudnia 95 procent kobiet, wszystkie więc swój dzień obchodzimy intensywniejszą niż zwykle pracą — mówi pani **Zofia Potz**, kierowniczka działu handlowego „Uniwersalu", pracownik handlu od 25 lat. Zapominam więc o celu swojej wizyty i korzystam, żeby dowiedzieć się u doświadczonego handlowca jak to z tym zaopatrzeniem.

— Na pewno zmieniło się na korzyść. Dawniej na rynku dominował przemysł, przemysł decydował o zaopatrzeniu rynku Dziś przemysł liczy się z wymaganiami handlu, z żądaniami klienta. Idzie też znacznie szybciej za modą. Dla przykładu: już na jesieni ukazały się w sprzedaży płaszcze midi i maxi. Nie oznacza to jeszcze, że mamy wszystko czego żądają klienci. Ciągle brak jeszcze wielu poszukiwanych rodzajów odzieży, jak na przykład sukien dla dziewcząt, niektórych wzorów bluzek damskich, rękawiczek skórzanych itd.

„Uniwersal" jest jedna z najlepiej zaopatrzonych placówek handlowych Łodzi. Dziennie dokonuje w nim zakupów około ośmiu i pół tysiąca osób. Z tego około dwóch tysięcy na stoisku pończoszniczym. Pani **Anna Sudenis**, kierowniczka tego stoiska pracuje w handlu 12 lat, cały czas w pończosznictwie. W tej branży zmieniło się również wiele. Przybyło nowych gatunków, wzorów. Rajtuzy, pończochy o nielecących oczkach, pończochy na każdy rozmiar nogi, skarpety — tego dawniej nie było. No i stale obniżające się ceny. Wystarczy przejść się po sklepach tej branży w mieście, by przekonać się, że ten towar ma powodzenie, a praca, ze względu na nieustające kolejki, jest ciężka. Pani Sudenis przygotowała się do 8 marca starannie.

— Klienci tego dnia to mężczyźni. Przygotowujemy im towar ładny, dobry i drogi. Powinni przecież kupić swoim paniom coś ładnego i dobrego. No i muszą wiedzieć, że kosztuje.

Męska klientela bywa różna. Pewien pan poprosił o pończochy damskie, pani Anna zapytała więc o rozmiar nogi żony. Pan obruszył się. „A co to panią obchodzi" zapytał niezbyt grzecznie.

Cóż, różni bywają klienci, różni sprzedawcy. Praca w handlu trwa praktycznie znacznie dłużej niż 8 godzin, bo i przyjść trzeba wcześniej i wyjść zaraz po zamknięciu też nie można. Osiem godzin na nogach, w ciągu ośmiu godzin uśmiechnąć się do dwóch tysięcy osób, być miłą dla dwóch tysięcy osób? Czy to możliwe? A tego przecież wymagamy od sprzedawczyń. Uśmiechajmy się więc do nich i my.

* * *

# GDY SIĘ MA SŁABĄ PŁEĆ...

Kobieta w biurze, kobieta w sklepie, kobieta w domu, przy garnkach, przy dzieciach. Obowiązkowa, cierpliwa, pracowita, niestrudzona. Z 24 godzin doby niewiele pozostaje na odpoczynek, na sen. Kobiety wkraczają do zawodów typowo męskich. W łódzkiej medycynie pracuje ponad 60 procent kobiet, w niektórych działach jak stomatologia czy farmacja panuje całkowite sfeminizowanie. Przed wojną, w komunikacji miejskiej kobiety były tylko sprzątaczkami. Dziś w tramwajowej służbie ruchu pracuje około 50 procent kobiet. Kobieta-konduktor, kobieta-motorniczy. Pani **Maria Chabelska** przez trzy lata była konduktorką, od siedmiu lat jest motorniczym. Chwali sobie ten męski zawód, chwalą ją zwierzchnicy. Nie narzeka, że praca jest ciężka. Ma tylko jedno życzenie: żeby były same dobre wozy. Wygodne, ciepłe, ładne. I ma jedną pretensję: jak mąż jest tramwajarzem to żona ma bezpłatny bilet na tramwaje. A jak żona jest tramwajarką, to mąż biletu nie ma. Dlaczego? Jak równouprawnienie, to równouprawnienie.

Rada zakładowa wyjaśnia nam tę sprawę. Rzeczywiście, to przepis przedwojenny. Mówi, że bezpłatny bilet przysługuje osobie prowadzącej gospodarstwo domowe. Przepis jest anachroniczny, bo podział na osoby pracujące i osoby prowadzące gospodarstwo domowe dawno się już skończył.

Pani **Zofia Świerkowska** nie ma tego problemu. Ona pracuje w MPK 20 lat, jej mąż 24 lata. Z prowadzeniem gospodarstwa domowego też nie ma problemu. Pracują z mężem na różnych zmianach. Zaczęli tak kiedy dzieci były małe, chodziło o to, żeby zawsze ktoś był w domu, dojrzał dzieci, zrobił zakupy, przygotował posiłki. Dziś córki dorosły, jedna studiuje, druga jest uczennicą liceum, ale ten zwyczaj został.

— A spotyka się pani z mężem od czasu do czasu?

— Przeważnie w nocy. Bo to jest tak, że na ranną zmianę wychodzę kiedy jeszcze wszyscy śpią, a z wieczorowej wracam kiedy już wszyscy śpią.

I tak od 20 lat. I ta kobieta jest uśmiechnięta, pogodna, zadowolona, że wychowała dzieci, że dzieci są dobre. Nie narzeka na ciężką pracę, na chłód zimą (a przecież wagony z konduktorem są najczęściej nie ogrzewane). Pragnie w swej pracy tylko jednego: bezpieczeństwa i spokoju.

— Najgorszy jest ten lęk. Boimy się chuliganów, pijaków, awanturników. Niszczą wagony, kradną kasowniki, a przecież i my jesteśmy w niebezpieczeństwie. Zdarzały się wypadki pobicia konduktorów. Chcielibyśmy większej opieki ze strony milicji, ze strony władz porządkowych. Na przykład rano, jak jedzie pierwsza zmiana do pracy. Chociaż panuje tłok, ale jest cicho i spokojnie, ludzie ustawiają się tak, że nawet tego tłoku się nie czuje. Dopiero później, kiedy zaczyna jeździć młodzież, trzeba pilnować, żeby nie stali na stopniach, żeby nie niszczyli wozu. A późnym wieczorem strach przed chuliganami.

To jest żądanie kobiety pracującej. Nie wygody, nie ciepły wóz, ale bezpieczeństwo. Wydaje się, że jest to sprawa nie tylko milicji; nie tylko władz porządkowych. To sprawa całego społeczeństwa. To obowiązek nas wszystkich. Opieka nad ludźmi pełniącymi swoje obowiązki, solidarność z nimi, reagowanie na wszystkie ekscesy i wybryki chuligańskie.

* * *

Osoby, które starałam się pokazać, migawkowo oczywiście, wybrane są przypadkowo, z przypadkowo dobranych zawodów. W naszym mieście można takich kobiet znaleźć wiele i w każdym zawodzie. Pracują ciężko i uczciwie, lubią swoją pracę. Dźwigają na swoich barkach dzielnie owoce wywalczonej przez ich babki i prababki emancypacji. „Trzeba łeb mocny mieć, gdy się ma słabą płeć" powiedział kiedyś trzeciorzędny poeta. Abstrahując od poetyckich wartości tego dwuwiersza — miał rację.

**TERESA WOJCIECHOWSKA**

---

Brak społecznego ośrodka scalającego inicjatywy wykraczające poza granice jednego powiatu, ośrodka, który występowałby z różnego rodzaju propozycjami, włączał do realizacji wspólnie przyjętego programu wszystkich zainteresowanych, a przede wszystkim liczny aktyw społeczny, to główny powód istniejącego stanu. W tych warunkach działacze społeczni występują jedynie jako tło różnego rodzaju narad, zaś w większej ilości jako statyści dość regularnie odbywających się inauguracji, zakończeń bądź podsumowań.

Jak wygląda sytuacja w powiatach?

Potrzeby ośrodków powiatowych prowadzą coraz częściej do powstawania bądź aktywizacji towarzystw regionalnych. To one właśnie stają się dziś ogniskami działalności kulturalnej i oświatowej. Działają jednak zdane wyłącznie na własne siły, niewiele lub nic wzajemnie o sobie nie wiedzą, napotykają na te same problemy i kłopoty. Niektóre potrafią je przezwyciężyć, inne tracą rozpęd, ograniczają działalność i z czasem figurują jedynie w rejestrach.

Wobec tego czy tematem najbliższego spotkania reprezentantów ruchu społecznikowskiego nie powinna być dyskusja na temat działalności, potrzeb i problemów Judymów zbiorowych — organizacji społecznych, stowarzyszeń, ruchu kulturalnego i regionalnego? Czy spotkanie takie będzie potrzebne i pożyteczne? Jest potrzebne i konieczne — odpowiadali działacze towarzystw regionalnych, to dobry pomysł — mówili pracownicy kulturalni i aktywiści ZMW w powiatach.

Potrzeb przemawiających za utworzeniem towarzystwa jest wiele: stworzenie platformy współpracy, dyskusji, wymiany poglądów, inicjowanie akcji służących aktywizacji kulturalnej całego regionu, inspirowanie i realizowanie badań naukowych, związanych z przeszłością i dniem dzisiejszym województwa, podjęcie akcji wydawniczej, współdziałanie w akcjach zmierzających do aktywizacji turystycznej poszczególnych rejonów, popularyzowania folkloru, opieka nad sztuką ludową, występowanie z własnymi oryginalnymi propozycjami w zakresie rozwijania i prezentacji amatorskiego ruchu artystycznego, tworzenie nowych, trwałych faktów kulturalnych

Niezwykle ważnym zadaniem dla towarzystwa byłoby stworzenie płaszczyzny dla pełniejszego współdziałania ośrodków regionalnych z wielkim ośrodkiem naukowym, kulturalnym i artystycznym, jakim jest dzisiejsza Łódź.

Rola istotna i ważka winna w pracy towarzystwa przypaść organizacjom nierozłącznie związanym ze społecznym charakterem, a wśród nich Związkowi Młodzieży Wiejskiej i Związkowi Młodzieży Socjalistycznej, które przez swoje inicjatywy wnoszą duży wkład w życie kulturalne województwa. Tegoroczne spotkanie społeczników zostało już zgłoszone i przyjęte do kalendarza imprez kulturalnych pierwszego półrocza 1971 roku.

Czy dojdzie na nim do powołania towarzystwa, które w innych województwach działają od lat, legitymują się bogatym wkładem w rozwój życia kulturalnego swoich regionów?

Powołanie towarzystwa nie może być formalnością. Wymaga przemyśleń i propozycji niejednej grupy społeczników lecz wszystkich, którym jest ono potrzebne i w przyszłości ma służyć.

EUGENIUSZ IWANICKI

# POWRÓT ŻURAWI

Minął miesiąc od chwili, gdy wsiedli do śmierdzących karbolem wagonów na zatłoczonej stacyjce Pietropawłowska. Wagony były stare, brązowa farba wypłowiała na słońcu, między deskami utworzyły się szpary. W czasie wojny przewożono w nich konie: pozostały jeszcze zardzewiałe kółka w ścianach i ślady haceli na podłodze.

Na słomie, pokrytej wytartymi kocami, było urządzone spanie i ułożony lichy, emigracyjny bagaż. Przy drzwiach wiadro, spełniające w czasie wielogodzinnej jazdy rolę ubikacji.

Nastrój był świąteczny. Do ubrań, szytych według rosyjskiego kroju (rubaszka przepasana rzemieniem, bufiaste spodnie) były poprzyczepiane biało-czerwone baretki. W czasie dłuższych postojów młodzi tańczyli zawrotne polki i oberki w takt astmatycznej i podziurawionej harmoszki, którą taszczył ze sobą najweselszy z całego transportu Szymek Dużyłło.

Jeśli postój wypadał w stepie, rozpalano ognisko i gotowano zupy rozdawane przez tajemniczą UNRRĘ, której nikt nie widział, ale każdy był przekonany, że jest to starsza pani, mieszkająca za oceanem. Starsza, tajemnicza i bardzo bogata. Dzięki niej otrzymywali właśnie te zupy w puszkach i stare, podniszczone, ale mocne ubranie o dziwacznym kroju i ostrym zapachu wilgotnych magazynów i naftaliny. Był to okres, kiedy wszystko, cokolwiek dawano, miało wartość absolutną. Wojna pozbawiła ich balastu wstydu. Głód wyzwalał skrajne instynkty, przyzwyczajał do zachłannego gromadzenia wszystkiego, co znajdowało się w zasięgu wzroku i ręki.

Postoje zdarzały się często. Wysłużone lokomotywy stawały nagle niby przemęczone konie i przeraźliwie sapiąc zastygały w bezruchu na długie godziny. Maszyniści kładli się na trawie i natychmiast zasypiali. Od razu zapalały się ogniska: ludzie pitrasili skąpe posiłki. Często rozpalaniu ognisk towarzyszyły eksplozje, to wybuchały leżące w ziemi pociski. Jechali przez obszary spalone ogniem karabinów maszynowych i zryte ciężkimi bombami. Wśród gęstych traw czaiła się zapomniana śmierć.

Jadący w wagonach nie przeżyli wojny i spotykane usypiska zesztywniałych od krwi bandaży wywoływały panikę. Dzieciom zabroniono zbliżać się do miejsc, gdzie nie tak dawno stały polowe lazarety.

Był maj. Spalone wraki dział samobieżnych obrastały soczystą trawą. Terkotały pierwsze skowronki, przypominając gorące stepy Kazachstanu. Ludzie brnęli wśród poczerniałych łusek karabinowych bojąc się nagłych eksplozji. Co śmielsi wynajdywali całe naboje i wyłamując kule sypali proch do ognisk. Było to upokarzaniem strachu. W ten sposób dokumentowano spóźnioną odwagę i bezsilność. Wydawało się im, że stają na krawędzi dnia minionego i ich własnego, bezpiecznego dzisiaj. Więc rozbrajali naboje i pociski artyleryjskie, zatrzymując się w milczeniu nad zbiorowymi mogiłami. Mimo całego szacunku dla zmarłych nie mogli uwierzyć, że za ogrodzeniem z brzozowych palików leży dwadzieścia pięć tysięcy czerwonoarmistów.

— Nie zmieściliby się — mówiła zaciągając kobieta w szalu — tyle luda nie wejdzie naraz do jednej mogiły.

— Przestań! — zgromił ją towarzyszący mężczyzna. — Na wojnie są inne mogiły. Obowiązują specjalne proporcje.

— Pleciesz, Paweł — odparła kobieta. — W czasie tyfusu też wpuszczano do jednego grobu po trzy trumny, ale żeby tysiące...

Brzozowe ogrodzenie, do którego ktoś przybił drewnianą tabliczkę z liczbą 25.000, odgradzało ich od dnia wczorajszego. Kobiety żegnały się, ktoś szeptał modlitwę w niezrozumiałym dla poległych języku.

Paweł stał najdłużej. On jeden rozumiał cały bezsens wojny i sens śmierci poległych na własnej ziemi. I gdy ktoś usiłował wyobrazić sobie przebieg bitwy, przerwał mu głosem ostrym i podniesionym:

— Breszesz, durniu! Gdyby nie oni, nie byłoby Polski, tego transportu, nas...

Wracał do kraju. Uczucie żalu do tych, którzy zmusili go do wędrówki w stepy, stępiło się przez te lata, osiadło gdzieś w głębi, przerodziło się w stan przewlekły, na który nie reaguje się ani spontanicznie ani gwałtownie. Zresztą gdzie szukać wrogów? Po tylu latach, po tylu ogniach i śmierciach, na jego ziemi nie było ani wrogów, ani przyjaciół. Spopielały zawiście, łzy i gniew. Wojna zrównała je rzucając do wspólnych mogił. Zarówno wiwaty jak i rozpaczliwe wołania rozwiały wiatry wiejące nad brzegami Łani, płynącej obojętnie łagodnymi serpentynami. Wszystko odeszło, przesunęło się w inne, pozaludzkie wymiary, więc nie ma miary, nie ma ocen ani praw, które można by do nich zastosować. Paweł wie, że nie on będzie sądził, nie on wydawał kiedyś wyroki, do niego należy jedynie powrót na ziemię ojców, do niego należy to nowe, jeszcze nie znane życie. Nastał czas oznaczony jako czas przyszły.

Ale niełatwo pozostawić bagaż tych kilku lat. Obok ciężaru codzienności były doświadczenia, przyjaźnie, praca. Zostawiając to wszystko, widział, iż tak naprawdę nigdy nie będzie mógł się od tego uwolnić. Pozostanie cząstka, może bardzo drobna, ale mocna i trwała, która uczyni go innym niż ci, którzy nie spojrzeli w swoim małym życiu dalej niż po horyzont zakreślony miedzami własnych zagonów.

Kraj to była niewiadoma, choć znał w nim rzeki i miasta, wioski i jeziora, przemierzył go od morza do gór. A mimo to wracał do innej ojczyzny: niby tej samej, a innej. Nie wierzył słowom współtowarzyszy, którzy opanowani nie sprawdzonymi informacjami, szeptali, że z Polski nie zostało nic prócz nazwy, nie ufał ostrzeżeniom „ludzi życzliwych", przestrzegających przed pochopnym podejmowaniem decyzji. „Wystarczy wsiąść do wagonów, a zamiast do kraju pojedziecie do Sachalin! — mamlały zdradzieckie usta.

— Namyśl się, a potem decyduj. Chcesz zgubić dzieci? — Czy wiesz, że ci co teraz podpiszą się na wyjazd, pojadą do Archangielska? Poczekajmy, poczekajmy jeszcze. Po tych co zostaną, przyjadą emisariusze z Londynu, tak ustalono...".

Krążyła plotka o ustach złych i jadowitych, dezorganizowała, siała niepokój. Ale on wiedział jedno: musi być w kraju, musi odbudować swój dom, odnaleźć miejsce wśród swoich, bo takie są prawa ludzkie, i jego prawa, taka jest odwieczna racja stanu oddalonej o tysiące kilometrów ziemi, zwanej Polską.

Wracał po pięcioletniej tułaczce. Był niby wędrowny ptak, niby żuraw, wracający do znajomych stron. Spalony syberyjskim słońcem i zahartowany przez podbiegunowe mrozy nie bał się spotkania z ojczyzną. Zresztą nigdy niczego się nie bał. Kiedy w wagonie dyskutowano nad dalszym życiem, kiedy usiłowano odgadnąć, jaka jest teraz Polska, odpowiadał:

— Jest inna. To jedno wiem.

W wagonach rozmawiano po polsku, ale była to dziwna polszczyzna. Starsi usiłowali wyraźnie wymawiać słowa, by młodzież mogła osłuchać się z obcymi dla nich dźwiękami. W kołchozie rzadko byli razem. Nigdy jeszcze nie było tylu Polaków razem! Mowa rosyjska mieszała się z polską, w gorączce sporów łatwiej mówiło się po rosyjsku. Były kłopoty z dziećmi. Nie uznawały mowy ojców ani łacińskiego alfabetu. Buntowały się. I gdyby nie perspektywa jazdy pociągiem, uciekałyby zapewne w step.

Rodzina Pawła zajmowała miejsce przy oknie. Żona cerowała i przyrządzała posiłki, a córka Urszula i syn Krzyś ślęczeli nad książką, napisaną dziwnym, śmiesznym alfabetem.

Oprócz nich przebywał w wagonie niejaki Jan Staniuk z żoną Dunią, Rosjanką, która ciągle się dziwiła, dlaczego nie mówi się „doczka", a „czurka", to taka śmieszna nazwa... Rosjanka była mała, czarna, zwinna, pierwotna. W czasie jazdy z tęsknotą wpatrywała się w przesuwający się krajobraz, jakby usiłowała zapamiętać i zabrać ze sobą obraz niekończących się stepów. Nieraz nuciła sentymentalne i smutne pieśni, często płakała.

W przeciwnym kącie wagonu rozlokowały się dwie pozostałe rodziny, wesołe i krzykliwe. Osobliwie przedstawiała się jedna z nich: Władysław Miciejko był lilipuciego wzrostu, chudziutki i ryży, jego żona natomiast górowała nad wszystkimi w całym transporcie. Miciejko, gdy szedł z nią po wodę, wyglądał jak dorastający chłopiec obok matki. Miciejkowie mieli córkę, dziewkę o nachalnych i bezczelnych oczach. Mówiono o niej jak najgorzej, starano się ją omijać, ona zaś na przekór opinii, starała się zwrócić na siebie uwagę mężczyzn. Zdarzało się, że w nocy, kiedy lokomotywa zatrzymywała się z sobie wiadomych powodów wśród czarnego stepu, Mirka wyskakiwała w ciemność. Wracała zwykle pokąsana, z wyzywającym uśmiechem i szczerząc zęby mówiła:

— Mie twajo, mamasza, dieło, nie twaja żopa tierpieła...

Miciejko milczał i udawał, że śpi. Wiedział, że z córką nie wygra, że ten niespokojny temperament odziedziczyła po matce i że żadne perswazje ani groźby nie przyniosą poprawy.

Obok Miciejków gnietli się Dużyłłowie. Konstanty, były ułan i zabijaka, nosił buty z prymitywnie wyprawionej skóry cielęcej i finkę za cholewą, którą obierał ziemniaki, strugał drzewo, kroił chleb, a po odpowiednim naostrzeniu używał jako brzytwy. Jego żona, kobiecina cicha i zabobonna, odmawiająca bez przerwy modlitwy i odczyniająca zaklęcia, wychodziła z wagonu tylko dla załatwienia swoich potrzeb. Dużyłłowie mieli syna, Szymka, urwipołcia i kawalarza. Starszy, Ziutek, był oficerem, kościuszkowcem i po zdemobilizowaniu czekał na ich przyjazd gdzieś w Skierniewicach.

Tłukli się wszyscy w skrzypiącym i dziurawym wagonie, z niecierpliwością wyczekując granicy. Wspominano nie tak dawną pracę w kołchozie, zastanawiano się, jak to będzie w tej Polsce, czy dostaną ziemię i ile, czy też trzeba będzie wynajmować się do pracy. Rozmowy przeciągały się późno w noc, czasem zasypiano nad ranem, zapadano w sen nagły, mocny, majacząc o biało-czerwonych szlabanach. Tylko Mirka, nie mogąc nad sobą zapanować, pełzła ostrożnie do Szymka.

Pociąg przelatywał obok spalonych miast, zwęglonych lasów, rozbitych budynków stacyjnych, spiętrzonych wagonów na zbombardowanych bocznicach, obok okaleczonej ziemi. Tygodnie stały się podobne do siebie, monotonne, urozmaicone wydawaniem prowiantu lub dłuższymi postojami. Czasem brakowało drzewa do paleniska, lokomotywa milkła i mężczyźni szli do lasu ścinać pozostałe przy życiu brzozy. Zdarzało się także, że pociąg zatrzymywał się w stepie, maszyniści kładli się na trawie i leżeli przez kilka godzin. Na pytanie, co się stało, odpowiadali z niezmąconym spokojem:

— Para niet!

Wtedy urządzano składkę. Paweł zdejmował z głowy wysłużony kartuz i szedł wzdłuż pociągu. Wrzucano kto ile mógł, a kto nie miał pieniędzy, dawał samogon. Maszyniści nie liczyli, chowali wszystko do worka i pijąc wprost z butelki zagryzali grubymi płatami słoniny wyciągniętej z brudnych, smrodliwych szmat. Po skończonej uczcie sygnałem wzywali do zajmowania miejsc, a potem pędzili przez kilkadziesiąt godzin bez postojów. W końcu zatrzymywali się nagle i rozkładając bezradnie ręce mówili:

— Nu szto padiełajesz? Snowa niet para!

W pierwszych dniach czerwca przyjechali do Brześcia. Ludzi opanowało podniecenie.

— Widać co?

— Nie puszczają blisko rzeki.

— Rewidują?

— A bo to można się czego dowiedzieć!

— Mówią, że Maryśkę Olszańską rozebrali do naga!

— Rozebrali? Chyba sama, żeby się chłopom pokazać.

— Niech ktoś wyjrzy!

— Idą!

Miciejkowa ze strachu i podniecenia wylała na siebie kociołek wrzątku. Jej przenikliwy pisk wypełnił cały wagon. Zrywała parującą, mokrą odzież, aż została goła, z czerwonymi oparzelinami na brzuchu i udach. Do wagonu nikt jednak nie przyszedł. Rewizja odbywała się z obu stron jednocześnie. Wagon, w którym jechał Paweł, był środkowy i chyba jedynie przez nieuwagę nikt do niego nie zajrzał. Obie komisje spotkały się właśnie obok niego i po wymianie kilku zdań odeszły w kierunku budynku z żelaznymi drzwiami. Dopiero nieco później wpadli do wagonu dwaj mężczyźni w wojskowych mundurach i odczytawszy nazwiska zabrali dokumenty rosyjskie, pozostawiając polskie z ogromnymi orłami.

Później była przesiadka. Też na towarowy, ale jakiś inny, z innymi napisami, z polską obsługą w czarnych mundurach z błyszczącymi guzikami. Potem był Bug, szeroki most, mętna woda i zaraz potem pustawa stacyjka. Byli w Polsce!

Fragment powieści pt. **„POWRÓT ŻURAWI"**, która niebawem ukaże się nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

*Rys. E. Inglot*

TADEUSZ MOCARSKI

***Małgosi Udut dedykuję***

## List I

W snach jesteś oswojona. Wchodzisz bez pukania
Biel jaśminową stawiasz na środku pokoju
Obchodzę Cię z daleka. Patrzę. Nie zabraniasz.
I zacieśnia się obręcz kroków i oddechów...
I nigdzie nie odchodzisz...
Budzę się zdziwiony
Że nie ma przy mnie Twojej oswojonej skroni
Że tak pusto w pokoju
Że nie ma nikogo...

## List II

Jesteś zaćmieniem moim. O wyznaczonej godzinie
Usypia jastrząb, wrzos, motyl gdy w Twoją dobroć wpłynę

Jesteś oazą malin i słodkim winobraniem
Z ust dojrzałych objadam Cię bez pytania

Jesteś moją wędrówką po złote runo
Zazdroszczą mi gołębie, zazdroszczą struny...

## List III

Tak budowano z ziarna kłos, a z ostów
chwast wojny pierwszej między mną, a Tobą
Tak budowano z rdzy cmentarz, z rąk mosty
Z szyj ptasich tęczę, a z milczenia słowo

Tak budowano... Aż zabrakło cegieł
Ciepła i dźwięku. Puste noce stoją

Jeśli się nawet spotkamy nad brzegiem
Z czego zbuduję przebaczenie Twoje...

## Półka z książkami

### SZTUKA AFORYZMU

Georg Christoph Lichtenberg jest z pewnością fenomenem nie tylko w historii literatury niemieckiej. Urodził się w 1742, a zmarł w 1799 roku, czyli od jego śmierci dzieli nas ponad 170 lat. Ale to, co napisał, brzmi tak współcześnie, jakby powstało w naszym wieku dwudziestym. Osobliwie zaś jego aforyzmy *). Lichtenberg był i pozostanie jednym z najznakomitszych aforystów w literaturze europejskiej. Marian Dobrosielski wybrał, przełożył i wstępem opatrzył niewielki wybór aforyzmów tego pisarza i myśliciela. Książeczka sprawi satysfakcję miłośnikom dobrej literatury. Zapoznają się oni z życiorysem pisarza, jego twórczością, omówioną we wstępie oraz przeczytają wybrane aforyzmy, starannie na ogół przełożone. „Padał tak wielki deszcz, że wszystkie świnie stały się czyste, a wszyscy ludzie — brudni" — tak mógłby napisać w Wiedniu Karl Krauss, a w Warszawie Stanisław Jerzy Lec. Niewątpliwie wszyscy oni z Lichtenberga.

Chwaląc ukazanie się aforyzmów Lichtenberga po polsku, miałbym jednak drobną pretensję do tłumacza, dlaczego w wyborze swym pominął szereg aforyzmów o pisarzach i literaturze. Ot, choćby taki: „Najsmutniejszym rodzajem utworów są te, którym brak siły, by przekonać i brak humoru, by rozśmieszyć". Albo: „Za popełnione przeze mnie błędy ganili mnie najwięcej ci, którzy nie mieli dość siły czy humoru, aby popełniać je sami".

**jk.**

*) Georg Christoph Lichtenberg: „AFORYZMY", przekład i wstęp: Marian Dobrosielski, PIW, Warszawa 1970 r.

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza wydała **„POEZJE WYBRANE"** Mariana Piechala *) w serii „Biblioteki Poetów", zawierającej najcelniejsze utwory wybitnych poetów polskich i obcych, zatem słuszne było wydanie w niej wybranych utworów piewcy Łodzi. „Wyboru dokonał i wstępem opatrzył Autor" — to zobowiązuje; jest sytuacją wręcz idealną, gdy selekcji dokonuje sam pisarz — wszystko, co szczególnie miłe jego sercu, co bardziej wyróżnia i wyżej ocenia może w takim zbiorze pomieścić. Kryterium doboru wierszy obrane przez Mariana Piechala ma także obiektywne racje — autor zadbał, by w wyborze znalazły odbicie wszystkie fazy jego twórczości, wszystkie dlań charakterystyczne motywy i główne cechy jego poetyki, by skromny przecież wybór ukazywał możliwie całą linię rozwojową jego talentu.

Mamy tu wiersze ze wszystkich tomów: od „Krzyku z miasta" do „Punktu oparcia" i „Być". Wprawdzie szkoda, że twórca tak dokładnie wymierzył proporcje dla poszczególnych tomów, gdyż przez to znalazło się poza zbiorem wiele znakomitych i niezbędnych dla poznania jego wizji utworów, np. wiersz „Do Stefanii Skwarczyńskiej" — zawierający kwintesencję jego poglądu na szanse rozwojowe człowieka, czy „Krytyka pisania wierszy" — zwięzłe credo poetyckie i surowa ocena modnej i masowej pseudopoezji.

Cały tom ułożony jest niezwykle funkcjonalnie; otwiera go szkic poety zatytułowany „Klucz do poezji", będący eseistycznym wprowadzeniem do światopoglądu Piechala. Jasnością treści i układem graficznym przypomina on esej Rogera Caillois „Sztuka poetycka", również apologety ładu i jasności. Ten wstęp twórcy niezbędny jest do pełnego i prawidłowego odczytania następujących po nim wierszy; ściśle korespondują ze sobą wstępne twierdzenia o poezji z poezją samą. Po precyzyjnie ułożonym wyborze wierszy następuje poemat „Garść popiołu" o bohaterach i zarazem ofiarach pożaru zamku Tarnowskich w Dzikowie w 1927 r. Potrzeba umieszczenią w niniejszym wyborze tego poematu jest oczywista — jego głównymi adresatami są potomkowie tych, którzy ponieśli bohaterską śmierć, wynosząc z płomieni bezcenne pomniki kultury polskiej. Chyba wzgląd na adresata skłonił poetę również do zamieszczenia w wyborze względnie wielu wierszy tkwiących elementami stylu, struktury czy myślą w kulturze proletariackiej i ludowej.

Drobne uwagi rodzi nota biograficzna — jak na notę jest zbyt obszerna, próbuje bowiem ocenić twórczość Piechala poprzez zebranie opinii krytycznych na temat poszczególnych jego publikacji. Czy nie byłoby lepiej poprzedzić notę fachową rozprawką historyka lub krytyka literatury? Byłoby to pożądane w stosunku do autorów żyjących, którzy sami wypowiadają się we wstępach. Wypowiedź autora siłą rzeczy nie może zastąpić pracy krytycznej, a taka bardzo by się przydała w tych pretendujących do samowystarczalności wyborach wierszy.

W twórczości Piechala powtarzają się pewne stałe motywy: motyw miłości prezentowany niesłychanie subtelnymi erotykami „W sercu mym jedna" i „Patrzę we wnętrze kwiatu", motyw autobiograficzny, powracający w różnych okresach twórczości — „Dziedzictwo", „Życiorys", „Dowód osobisty", motyw Łodzi czy też pisarzy szczególnie bliskich poecie (Norwid, Żeromski, Mickiewicz). Przez cały tom przewijają się wątki patriotyczne. Można tu wymienić cały szereg wierszy, m. in. „Summę", „Alfabet", „Nową wiosnę", „Zimę",

**JÓZEF DUK**

# IMPERIUM POETY

„Ojczyznę"; pogląd w tej kwestii uległ znacznej przemianie — „Summę" od „Ojczyzny" oddziela długa droga doświadczeń i refleksji, ale jedno pozostało niezmienne, przekonanie, że

*W poezji jest jej żywot wieczny*
*w dniu co dzień z martwych*
*powstawanie*

Owo przekonanie poety na temat ojczyzny warto poddać pod rozwagę młodych adeptów pióra. Wyodrębnia się także kompleks motywów autotematycznych: istota poezji, jej rola w społeczeństwie, szanse uzyskania rezonansu ze strony odbiorcy etc. Dla Piechala poezja to miara ostateczna wszechrzeczy, to wydobywanie rzeczywistości z chaosu, to wreszcie rdzeń egzystencji narodu. Takie rozumienie poezji poświadczają wiersze: „Rodowód", „Sens", „Poetyka", „Kompleks" i przede wszystkim „Pewność":

*Jeśli twe słowo ma lotność*
*pióra, a wagę kamienia*
*dojdzie dziś, jutro, po wiekach*
*do kogo trzeba, dojdzie.*

Oto odprawa szerzycielom zwątpienia w moc i celność poetyckiego słowa.

Dokonany przegląd niektórych motywów poezji Mariana Piechala nie zaprzecza jej ewolucji; wraz z rozwojem refleksji i sublimacją wrażliwości, wraz z narastaniem doświadczeń i przeżyć konkretyzowała się jego wizja człowieka, historii i postępu. O ogromie przebytej przez Piechala drogi świadczy chociażby proste zestawienie dwóch wierszy o matce — „Pomnika" (1929) z „Grobem matki" (1969) pierwszy to liryczna opowieść, której problematyka i wymowa dotyczą tylko podmiotu lirycznego, natomiast brak jej szerszych uogólnień; wiersz o czterdzieści lat późniejszy kształtowała refleksja intelektualna (jakkolwiek nie wyzbyta napięcia emocjonalnego) — ten sam fakt wyzwolił w poecie szereg doniosłych i wręcz niesamowitych w swej oczywistości prawd. Wydając „Miarę ostateczną" (1965) Piechal podsumował swą twórczość, lecz jej nie zamknął: tego samego roku opublikował „Punkt oparcia" — wynik drążenia myślą współczesnej rzeczywistości; tom następny „Być" (1969) dopełnił poetycką wizję świata zarysowaną już w zbiorze poprzednim.

Jest ona w pewnej mierze bliska koncepcji Teilharda de Chardin: człowiek nie jest wyjątkowym tworem natury, jego gatunkowi udało się jedynie wcześniej zapoczątkować swą ewolucję, lecz podlega jej i dąży w tym samym co człowiek kierunku cały świat przyrodniczy. Świat ludzki jest moralny, tj. rozdarty dualizmem dobra i zła („żywiołów i wolnej woli") sam zaś człowiek składa się z dwóch pierwiastków, z nietrwałego ciała („Byle cierń może je naruszyć, byle owad zagrozić") i potężnej świadomości, pojętej jako myśl, intuicja, uczucie. Piechala interesuje właśnie człowiek jako źródło wiedzy, jako refleksja. Jemu to przepowiada ewolucję, która doprowadzi go do istnienia w formie samej myśli czyli doskonałości. Aby owa ewolucja mogła się dokonać, trzeba, żeby żyjące obecnie pokolenie w pełni zaakceptowało istnienie, gdyż jest to warunkiem odległej doskonałości.

I to jest optymistyczny wydźwięk koncepcji Piechala; w wierszu którego nie ma niestety w wyborze „Do Stefanii Skwarczyńskiej" pisze:

*TRZEBA*

*jedynie wybrać taki punkt widzenia,*
*co ziarnko piasku zrównywa z planetą,*
*by odczytać te znaki, co prowadzą*
*do człowieka jak do czystego źródła.*

Lecz jego koncepcja człowieka kieruje się również w teraźniejszość; w wierszu „Moje imperium" — on, imperium myśli, wyobraźni oraz intuicji, kruchy ciałem, lecz „potężny ekspansją myśli" proponuje pakt nieagresji wszystkim innym takim mocarstwom na zasadzie dobrej woli, poszanowania zdrowego rozsądku i absolutnej nieingerencji w owo imperium ducha — marzeń, myśli i słów. Trudno o utwór bardziej współczesny i bardziej ludzki, to prawdziwy manifest humanisty. Nie jest to bynajmniej humanizm łatwy i deklaratywny; wiersze „Pragmatyka" czy „Sprzeciw" świadczą, że poeta zdaje sobie sprawę z ponurej dialektyki historii, tym cenniejsza wydaje się jego ocalona nadzieja.

Wyraźnie ewoluuje także poetyka wierszy Piechala do utworów o dużym ładunku uczuciowym, utrzymanych w kategoriach romantycznej wzniosłości i bezpośredniości, od wierszy głęboko osobistych (o czym by one nie traktowały) do fundamentalnych problemów kultury wyrażanych językiem zintelektualizowanym i lapidarnym, zamkniętych w różnorakich, acz zawsze doskonale skomponowanych układach.

Charakterystyczne jest tu przesunięcie punktu ciężkości z własnej osobowości na szeroko pojęte sprawy człowieka i kultury, doszło nawet do tego, że i problemy własne traktuje artysta jako przykład ogólnych. Nie jest to, mimo jej wielkiej jasności, poezja łatwa, jak niełatwy jest trud poetycki, dzięki któremu „Chaos zyskuje proporcje Ładu", jak niełatwe jest ustalanie kształtu współczesności; nowsze wiersze Piechala posługują się terminami wielu nowoczesnych nauk; pełno w nich skojarzeń literackich i historyczno-kulturalnych, ale także zwrotów mowy potocznej, przysłów itp. Mimo to czuć w nich pulsowanie serca, napięcie emocji. Zresztą poeta sam przyznaje, że wiersze pisać należy „w proporcji wyobraźni i na miarę przeżycia", że dopiero akt twórczy daje poczucie pełni istnienia.

Rekapitulując: „Poezje wybrane" Mariana Piechala to ważne wydarzenie kulturalne; stosunkowo spory nakład (sześć tys. egzemplarzy), zamknięta struktura tomu, staranny dobór wierszy to niezaprzeczalne zalety. Z pewnością książka ta sprawi swoim czytelnikom znaczną satysfakcję intelektualną i estetyczną, darząc ich swoją szlachetną treścią.

*) **Marian Piechal, POEZJE WYBRANE, LSW, Warszawa 1970, s. 160,**

## *Przeszłość i teraźniejszość*

# Ponowny pogrzeb króla Kazimierza Wielkiego

**„Wtem usłyszałem jakby do grobowca stukanie...**
**i jakby się obsuwał złom granitu;**
**uczułem, że się łyska wierzch pokrowca**
**złotemi nićmi od jakiegoś świtu;**
**znów woń kadzideł palonych z jałowca**
**i jakiś strop z gwiazdami i z błękitu...**
**— W kościele byłem trup;**
**więcem się wzdrygnął**
**i naraz kamień tumby ktoś podźwignął".**

*Fragment z „Kazimierza Wielkiego" Stanisława Wyspiańskiego zawiera reminiscencję wydarzenia tyleż głośnego, co niespodzianego, jakim było przypadkowe odkrycie dnia 11 czerwca 1869 roku podczas prac konserwatorskich prowadzonych w katedrze wawelskiej, zwłok ostatniego króla Polski z dynastii Piastów. Miejsce pochowku monarchy nie było dotąd znane a dokładniej — jak się później okazało — relacji Długoszowej nie dawano wiary; natrafiono na nie przy okazji renowacji pomnika królewskiego. Konserwator zabytków Paweł Popiel wraz z dwoma pracownikami kamieniarskimi zjawił się w katedrze by osobiście przekonać się, czy podstawa pomnika jest dostatecznie mocna, aby wytrzymać ciężar odnowionego monumentu. „Wtedy za pierwszym uderzeniem młotka w boczną, zachodnią ścianę tumby — czytamy w sporządzonym zaraz opisie — wypadło z tej ściany kilka kamieni, a przez otwór w ten sposób zrobiony pokazało się wnętrze grobu i w nim kości Kazimierza Wielkiego, szczątki odzieży i spróchniałej trumny".*

*Dla galicyjskich konserwatystów — z Popielem na czele — a także kręgów kościelnych to niespodziane odkrycie było nad wyraz niewygodne, nic więc dziwnego, że starano się sprawie nie nadawać rozgłosu, w obawie, by ewentualne uroczystości związane z odnalezieniem szczątków monarchy nie oddziałały na uczucia szerszych kręgów społeczeństwa, nie pobudziły nastrojów patriotycznych i nie dały okazji do demonstracji politycznych, wymierzonych przeciw władzy austriackiej i polityce trójlojalizmu.*

*Przypomnijmy sobie, że politycznymi wodzirejami Galicji byli wówczas ludzie, których polityczną orientację określało najlepiej sformułowane w 1866 roku hasło — „przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy". Starszy odłam galicyjskiego konserwatyzmu sypał gromy na niedawne powstanie — jak czynił to Popiel w swym słynnym liście otwartym do Jerzego Lubomirskiego; młodszy — którym byli Stańczycy — przystąpił do uporczywego boju z „liberum conspiro", przedstawiając polskie zrywy narodowowyzwoleńcze jako jeszcze jeden, ale tym razem już na pewno ostatni objaw najgorszej tradycji polskiego warcholstwa, którego symbolem było niegdyś „liberum veto". W rok przed krakowskim odkryciem — w 1868 roku — Walerian Kalinka w swych „Ostatnich latach panowania Stanisława Augusta" (Lenartowicz nazwał to dzieło wprost „zbrodniczym pismem Wielebnego Kalinki) dowodził z uporem i namaszczeniem, że upadek Polski jest najzasłużeńszą pokutą za własne, ogromne grzechy narodu, zaś historiografia jęła wyszukiwać dowody rzeczowe we wszystkich epokach dziejów Polski, byleby tylko potwierdziły one słuszność tej pesymistycznej historiozofii narodowej. W tej to sytuacji ideowo-politycznej odnalezienie ciała monarchy, którego tradycja obdarzyła mianem Wielkiego, którego panowanie dostarczało jak najmniej argumentów dla pesymistycznego poglądu na dzieje narodowe, w tej to sytuacji przypomnienie dawnej wielkości Regni Poloniae musiało być dla konserwatystów galicyjskich jak najbardziej niewygodne. Przypadek sprawił kłopot, większy, niż mógłby go uczynić najbardziej zagorzały przeciwnik — najtrudniej bowiem walczyć jest z cieniami.*

*Nie udało się ukryć wawelskiego odkrycia, które wywarło ogromne wrażenie nie tylko w zaborze austriackim, ale w całej Polsce. „To zjawienie się wśród żywych wielkiego króla prawodawcy, reformatora, na grobie Polski rozszarpanej — pisał współcześnie J. I. Kraszewski — rozsypanego w proch, z ostatnią polską koroną i jedynym berłem naszym (...) miało w sobie coś mistycznie działającego, jakby wywołującego wspomnieniem przeszłości wiarę w przyszłość. Kto by się mógł spodziewać w pierwszej chwili, że ten wypadek będzie jakby kamieniem probierczym usposobień ludzi, ich patriotyzmu, ich bojaźliwości i — dziwactwa".*

*Odtworzeniem dziejów odkrycia grobu królewskiego i ponownego pogrzebu Kazimierza Wielkiego jak również prześledzeniem echa, jakim wydarzenia te odbiły się w różnych kręgach społeczno-politycznych zajął się ostatnio prof. Józef Buszko w rozprawie „Uroczystości Kazimierzowskie na Wawelu w roku 1869" (Kraków 1970). Temat ten uczony odziedziczył po zmarłym historyku sztuki ks. T. Kruszyńskim skorzystał też ze zgromadzonych przezeń materiałów, które uzupełnił własnymi poszukiwaniami. Nowy wypad zasłużonego badacza dziejów galicyjskiego ruchu robotniczego w dziedzinę historii kultury uwieńczony został pięknym sukcesem, tym większym, że praca jego znalazła doskonały kształt edytorski. Nie tylko myślę tu o pięknej czcionce Drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego i papierze III klasy, ale o 30 ilustracjach na papierze kredowym oraz dwóch kolorowych tablicach — pierwszej przedstawiającej wnętrze grobu Kazimierza Wielkiego według obrazu Matejki i drugiej, przedstawiającej insygnia królewskie wedle obrazu Ludwika Łepkowskiego.*

**JÓZEF GRZELAK**

JAN KOPROWSKI

# LISTY WSPANIAŁE I DENERWUJĄCE

TOMASZ MANN jest wielkim pisarzem. Można i należy go podziwiać, ale nie można go lubić tak jak lubi się przyjaciela. Jest zbyt chłodny, obcy i daleki. Wrażenia wyniesione z lektury potwierdzały osobiste z nim kontakty. Powołajmy się na przykład Marii Dąbrowskiej, która zetknęła się z Tomaszem Mannem dwukrotnie: raz w Warszawie w 1929, drugi raz — w Weimarze w 1955 r. Oto, co Maria Dąbrowska napisała na ten temat w „Szkicach z podróży": *„W obydwu razach — jakże oddalonych latami — odnajdywałam te same cechy zachowania się i wyrazu postaci Manna, które za pierwszym razem określiłam sobie jako chłód, pańskość, dystans wobec ludzi, może nawet pewnego rodzaju wyniosłość"*. Wprawdzie podczas drugiego spotkania autorka „Nocy i dni" skoryguje nieco swoje poprzednie wrażenia, ale pozostanie owo uczucie chłodu i dystansu, tak charakterystyczne dla osobowości niemieckiego olimpijczyka XX wieku.

Otrzymaliśmy niedawno drugi tom „Listów" Tomasza Manna po polsku w pięknych przekładach Wandy Jedlickiej i Teresy Jętkiewicz. Dokładna lektura tego opasłego tomu, obejmującego listy z dziesięciolecia 1937—1947, wzmacnia przekonanie o wyniosłości i olimpijskim chłodzie wybitnego pisarza. Czytając nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że Tomasz Mann pisał swoje listy z przeznaczeniem dla potomności, choć — oczywiście — adresował je do osób żyjących. Wszystko w tych listach jest tak wyważone, tak wolne od swobodnych nastrojów i tak wypracowane, że stanowią one jak gdyby zamierzone utwory literackie. W tym samym czasie dotarł do moich rąk wydany w NRF tom listów Józefa Rotha, autora znanych powieści „Marsz Redetzky'ego i „Hotel Savoy". Ileż w listach Rotha spontaniczności, zmiennych nastrojów, humoru. Ileż refleksji, wynikłych z poddawania się zmiennym wydarzeniom dnia. U Tomasza Manna nie ma miejsca na takie rzeczy. Jego listy, zarówno te obszerne, jak i drobne, kilkuwierszowe, w których autor komuś za coś dziękuje lub o czym donosi, są jednakowo poważne, pryncypialne, nastrojone na ton wysoki i podniosły.

Naturalnie listy Tomasza Manna są wspaniałe. Można by je podzielić na kilka grup. A więc listy rodzinne (do braci, córek i synów), listy do przyjaciół i kolegów — pisarzy, listy do wydawców i tłumaczy, listy do osobistości oficjalnych (np. do prezydenta Roosevelta), i wreszcie listy polityczne, przeważnie do Niemców i o sprawach niemieckich. Najmniej ciekawe (przynajmniej tak się wydaje) są te pierwsze, najbardziej ciekawe — te ostatnie. Tom otwiera list do dziekana Wydziału Filozofii Uniwersytetu w Bonn, w którym Mann reaguje na wiadomość o odebraniu mu tytułu doktora honoris causa tegoż uniwersytetu i

pozbawieniu go obywatelstwa niemieckiego. Wspomnijmy przy sposobności, że prezydent Czechosłowacji, Edward Benesz, zaofiarował Mannowi obywatelstwo czeskie, a po wyjeździe do Stanów Zjednoczonych — Mann stał się obywatelem amerykańskim i już do śmierci obywatelstwa tego nie zmienił. W obszernym liście do dziekana uniwersytetu w Bonn są zdania godne, aby je zapamiętać. O władcach Trzeciej Rzeszy Mann pisze: *„Ludzie ci wykazują niewiarygodną odwagę, utożsamiając się z narodem niemieckim!"* Piękne i szlachetne zdanie. Ale dodajmy, nie bez melancholii, że niemała część narodu niemieckiego utożsamiała się ze swoimi przywódcami. Niestety. Z listów politycznych zwraca również uwagę list do Waltera von Molo (pisarza hitlerowskiego), który w 1945 roku nawoływał Manna do powrotu. Mann rozprawia się w nim ostro z pisarzami, którzy wysługiwali się hitleryzmowi, nie szczędząc przykrych słów adresatowi i oznajmiając, że nigdy do Niemiec nie powróci. Mann dotrzymał słowa. Po wojnie osiedlił się, jak wiadomo, pod Zurychem i zmarł tam w 1955 roku. W liście do Waltera von Molo, Mann cytuje słowa Hermanna Hessego, który już w czasie pierwszej wojny światowej zerwał z Niemcami, przeniósł się do Szwajcarii i jako obywatel szwajcarski odcinał się na każdym kroku od Niemiec. Oto jego słowa: *„Niemcy — bez wątpienia wielki, wspaniały naród, któż by temu przeczył? Może nawet sól ziemi". Ale jako naród w sensie politycznym — niemożliwy! Nie chcę z nim jako takim mieć nigdy więcej do czynienia"*.

Znamienna jest odpowiedź Tomasza Manna na propozycję przywrócenia mu tytułu doktora honoris causa uniwersytetu bońskiego. Jest w tomie list do pewnego redaktora amerykańskiego, w którym Mann tłumaczy się, dlaczego w czasie pierwszej wojny światowej i krótko po niej uległ tendencjom nacjonalistycznym i popierał Niemcy wojujące.

Listy, które nazwałem politycznymi, są z pewnością w tomie tym najistotniejsze, wiele mówią o sprawach ogólnych, ale także o zachowaniu się i poglądach samego autora. Są w tym tomie również listy denerwujące, rzekłbym — megalomańskie. Do Agnes E. Meyer pisze Tomasz Mann o Józefie Conradzie m. in.: *„Jest to pisarz, który wchłonął zbyt wiele wrażeń z zewnątrz, aby być bardzo głębokim. Ale jest prawdziwym mężczyzną i często prawdziwym pisarzem"*. Wynika z tego że Tomasz Mann nie był prawdziwym mężczyzną czyli nie był dżentelmenem.

Skoro już jesteśmy przy sprawach, zahaczających o Polskę, nie możemy nie zauważyć, że w listach swoich Tomasz Mann nie zareagował bezpośrednio na wybuch wojny niemiecko-polskiej w 1939 i na wybuch Powstania Warszawskiego w 1944 roku. Nie poświęcił tym wydarzeniom nawet jednej linijki w swoich listach, przeznaczonych dla potomności. Czyżby to były zbyt błahe wydarzenia dla pisarza, opancerzonego na wpływy z zewnątrz? A przecież mimo to, listy jego są niezmiernie ciekawe,. dobrze, że zostały przełożone i warto i należy je czytać.

Tomasz Mann: **„LISTY 1937—1947"**, Czytelnik, Warszawa 1970, cena zł 80, stron 840.

# POLONICA

### WROCŁAWSKA PANTOMIMA W PARYŻU

Występy gościnne Wrocławskiej Pantomimy w Paryżu wywołały ciekawe echa prasowe. Młoda a bardzo przenikliwa recenzentka „France Soir", Jacqueline Cartier, napisała w numerze z 26. XI.: „Polska przysyła nam spektakl zadziwiający i nadzwyczajny pod względem techniki — teatr Pantomimy z Wrocławia, miasta liczącego 500.000 mieszkańców, szczycącego się tym, że posiada zespół Grotowskiego, rewolucjonizującego świat teatru w skali światowej. Zespół Tomaszowskiego wprawia natomiast w zachwyt świat tańca, do którego jednak nie chce być zaliczany. Ale nie należy też do pantomimy. Czym więc jest? Stowarzyszeniem 27 artystów, otrzymujących subwencje państwowe, którzy 8 godzin dziennie ćwiczą taniec klasyczny, akrobację, lekkoatletykę, pantomimę i grę aktorską. Dzięki temu zespół zdobył wprost nieprawdopodobną dyscyplinę. Ciało jest całkowicie na usługach artystycznej myśli. Do tego stopnia, że najmniejszy gest ma tu swoje uzasadnienie. To co robią artyści Tomaszewskiego przewyższa to, co się robi gdzie indziej. Są tu zwolnienia rytmu, które stanowią wyzwanie dla równowagi, równowagi wyzywające ruch, ruchy ciał będące natchnieniem dla dusz. Jest wreszcie fantastyczna siła, która mi każe przypuszczać, że gdyby Polska tak wiele nie wycierpiała, powojenna generacja artystów nie mogłaby czerpać tak głębokiej energii wyzwalającej".

Trochę chłodniejsza jest recenzja Claude Beigneres'a w „Le Figaro": „Teatr wrocławski — pisze on — poświęca się pantomimie nie takiej, jaką praktykował romantyzm, lub którą na nowo obmyślił Marcel Marceau. (...) Polscy mimowie nie starają się narzucić realistycznych znaczeń wykonywanym przez siebie ruchom; ich metoda nie ogranicza się do przekomponowania naturalnych gestów, by nadać realistyczne znaczenie wykonywanym ruchom i nadanie im wartości wyznań. Chodzi tu raczej o artystyczną transpozycję działań cielesnych, stwarzającą następstwo obrazów zbliżonych do tańca".

Podobnie „L'Aurore": „Tomaszewski, stale się pasjonujący baletem (...) orientuje swe pantomimy w stronę tańca i absolutnego piękna plastycznego. Dlatego większość jego spektakli jest oparta na partyturach muzycznych (...) zresztą przed 8 laty Tomaszewski zdobył w Paryżu medal krytyków za najlepszy spektakl choreograficzny i nagrodę za poszukiwania artystyczne, podczas swych występów w Teatrze Narodów. Gorąco pisze „Journal de dimanche" zapowiadający występy Pantomimy. Antoine Coletta tytułuje artykuł oparty na swej poprzedniej wizycie we Wrocławiu: „Polscy mistrzowie zadziwią Paryż". Także i tu podkreśla się, że zespół składa się z doskonałych tancerzy, którzy są przede wszystkim mimami".

P. Ruba, członek zespołu Wrocławskiej Pantomimy, został wyróżniony za rolę Giglamesza przez stowarzyszenie krytyki teatralnej.

**W. N.**

### PREZYDENT A PISARZE

Prezydent Francji przyjął niedawno francuskich pisarzy i aktorów. Zjawili się m.in. członkowie Akademii Francuskiej i aktorzy Komedii Francuskiej, laureaci tegorocznych nagród, słynny wykonawca ról w komediach Marcela Aymé, Jacques Dufilho i inni. Nie zaproszono tylko Sartre'a, nieobecny był Malraux. Prezydent Pompidou specjalnie powitał i gorąco podziękował Aragonowi. Podkreślił też, że pisarze i ludzie teatru będą w przyszłości odgrywać coraz większą rolę w życiu narodów. W rozmowie prywatnej, wspominając niedawne harakiri japońskiego pisarza, militarysty i skrajnego nacjonalisty, prezydent Pompidou powiedział: „Jest to jeden z rzadkich krajów, gdzie literaci walczą o zwiększenie, a nie o ograniczenie zbrojeń". Wspominając swe rozmowy z poetą Paul Valerym, powiedział Pompidou, że autor „Młodej Parki" nie cierpiał, gdy nazywano go „mistrzem" (podobnie u nas protestował Przybyszewski: „Ja nie żaden mistrz" — powiedział do młodego dziennikarza, który go emfatycznie tytułował. — „Jestem takim samym osiołkiem, jak pan"). Na zakończenie zwierzył się prezydent francuskiej republiki: „Życie głowy państwa rozpoczyna się wcześnie rano, kończy się późnym wieczorem i nie zatrzymuje się nigdy".

**W.N.**

# O czasach raczkowania naszej kinematografii i o aktorstwie filmowym

OPOWIADA LUDWIK BENOIT

**— Temat rozmowy? Wkrótce „stuknie" 25 lat od rozpoczęcia prac nad pierwszym filmem fabularnym w Polsce Ludowej.**

— Masz zapewne na myśli pierwszy film pełnometrażowy, czyli „Zakazane piosenki". Krótsze filmy fabularyzowane kręcone były już wcześniej. Sam brałem udział jako aktor w realizacji inscenizowanego dokumentu z lat okupacji, który nazywał się „Łódź-Norymberga". Kręcony był chyba jesienią 1945 r. w prowizorycznym atelier przy ul. Narutowicza 86.

**— A więc twoja kariera filmowa zaczęła się przed blisko 26 laty. Spróbuj przypomnieć sobie, w ilu filmach grałeś. Wiem, że w twoim przypadku to pytanie nie najłatwiejsze. Tyle tego było...**

— Przypadkiem mogę odpowiedzieć, bo mi to przypomniał ostatnio red. Radomiński z Poznania w czasie programu „Sylwetki X Muzy". Otóż mój bilans to około 40 ról filmowych.

**— A więc doświadczenie ogromne. Przysługuje ci w pełni określenie: aktor filmowy. Nie protestuj! Wiem, że teatr zawsze stawiasz na pierwszym miejscu. Ale ja chcę dziś mówić z tobą o filmie. I o tych trudnych początkach tworzonej z niczego kinematografii, których byłeś świadkiem.**

— Każdy dzień wtedy to było odkrywanie Ameryki. Do wszystkiego trzeba było dochodzić własnym doświadczeniem. Realizacja filmu była rodzajem śmiesznego nabożeństwa.

**— Nie przerywaj! Mów dalej. Widzę, że myślami przeniosłeś się w tamte pionierskie czasy. Co masz na myśli, mówiąc: śmieszne nabożeństwo?**

— Bo poza nielicznymi przedwojennymi realizatorami nikt dobrze nie wiedział, jak się film powinno robić. Reżyser, operator, kierownik produkcji dodawali sobie powagi, zarządzając twardy reżim i niepotrzebne nikomu rygory. Aktorów ściągano do atelier na szóstą rano, przestrzegając punktualności ze zwierzęcą powagą. Jednocześnie nie umiano zorganizować planu. Zdjęcia opóźniały się. Człowiek ucharakteryzowany czekał po 7—8 godzin na swoją scenę. W międzyczasie rozwiązywano tysiące wątpliwości. Reżyser miał milion koncepcji. Operator nie mniej, z tym że wszystkie absolutnie przeciwstawne tym, które miał reżyser. Dyskusjom nie było końca. A czas płynął i płynął...

**— No, ale było przecież trochę fachowców z przedwojennego „Sfinksa", czy „Falangi", pracowników technicznych z doświadczeniem pracy w filmie.**

— Ci byli znakomici! Tacy np. mistrzowie oświetlenia — Wróżyński, Zając. Zwłaszcza ten ostatni. Jego wiedza o oświetleniu planu, choć czysto praktyczna, przerastała niejednego operatora filmowego po studiach. Gdy trzeba było na przykład osiągnąć efekt oświetlenia nawy kościelnej przez witraże, to wiadomo było, że z tym tylko do Zająca! Pomyślał, pokombinował i zrobił bez pudła. Było w jego robocie coś z misteryjności. Może nawet strzegł zazdrośnie niektórych sekretów swojego warsztatu. Ale mit jego nie podlegał żadnym wątpliwościom. Takich ludzi niezastąpionych było więcej. Nazwałbym ich Ludźmi Wielkiego Rzemiosła.

**— To ładnie powiedziane. Szkoda, że nie wszyscy wyszkolili następców na swoją miarę!**

— Taki Józef Galewski, scenograf. To był istny szaman!

**— To on mawiał, że masto lat praktyki w zawodzie — 60 lat w teatrze i 40 — w filmie.**

— Tak. Przypominam sobie zdjęcia do „Premiery warszawskiej" Rybkowskiego. W filmie tym przypadła mi rola jednego z pierwszych warszawskich cyklistów. Jeździłem na wielkim bicyklu, odpychając się nogami od ziemi. Ćwiczyłem właśnie tę ekwilibrystykę, gdy koledzy zawołali, żebym popatrzył na Galewskiego przy pracy. W jednym z kątów atelier rozłożył na ziemi kilkunastometrowe płótnisko, na którym malował perspektywę ulicy. Miał szalenie mocne szkła i malując dotykał niemal nosem płótna. Co pewien czas cofał się parę metrów, żeby ogarnąć wzrokiem całość, po czym znów doskakiwał i na wypatrzonym miejscu nanosił rysunki domów, drzwi, okien, kunsztownych gzymsów. Widział przy tym tylko kawałek płótna, nad którym się pochylał, ale miał w pamięci miejsce, gdzie chciał umieścić dany przedmiot. Pracował bezbłędnie. To był fascynujący widok! Przyglądaliśmy się mistrzowskiej robocie chyba przez dwie godziny.

KAROL BADZIAK

# PAŁAC W KRUSZYNIE

Rezonans, z jakim spotkała się decyzja o odbudowie Zamku Królewskiego w Warszawie, dowodzi jak żywy jest stosunek naszego narodu do własnej tradycji i historii. W serdecznym klimacie zainteresowania odbudową Zamku pragnę zauważyć, że i my na Ziemi Łódzkiej mamy do spłacenia swój dług wobec zabytkowych budowli. Mam na myśli XVII-wieczny pałac w Kruszynie, o którego odnowienie przez wiele lat kruszył kopie i zużywał atrament chyba z batalion łódzkich dziennikarzy. Wydawać by się mogło, że czynili to bezskutecznie, a tymczasem okazało się, że pod koniec ubiegłego roku przystąpiono do restauracji pałacu. Był już najwyższy czas, gdyż zabytkowi groziła całkowita ruina.

Co prawda pałac w Kruszynie nie dorównuje Zamkowi Królewskiemu, niemniej posiada dużą wartość jako zabytek. Dość wspomnieć, że takie kominki marmurowe, jakie się w tym pałacu znajdują, spotkać można w Polsce tylko na Wawelu. Gorzej jest z wyposażeniem wnętrz pałacowych, część rozgrabiono, część znajduje się po różnych muzeach i prawdopodobnie w magazynach. Ostatni właściciele, Lubomirscy, sporo drogocennych rzeczy (obrazów, platerów, pucharów itp.) zamurowali w jednym ze schowków pałacowych. Po wojnie stary lokaj ujawnił skrytkę, skarby zostały odzyskane i jako własność narodu przekazane odpowiednim władzom konserwatorskim.

Sądzę, że warto się pokusić, ażeby po odrestaurowaniu pałacu wróciły one tam w charakterze eksponatów muzealnych. Tym bardziej, że pałac w Kruszynie jest większy od pałacu w Nieborowie i może stanowić dużą atrakcję turystyczną. Ponadto Kruszyna położona jest blisko bardzo uczęszczanej arterii komunikacyjnej, jaką jest szosa z Katowic do Warszawy. Pałacowe budynki gospodarcze nadają się do adaptacji na piękny hotel. Sam pałac usytuowany jest w rozległym, starym parku, który dodaje uroku całości. W parku tym jest tzw. kaplica Sobieskiego i pustelnia Denhofa.

Legenda głosi, że w kaplicy tej ówczesny właściciel pałacu, kurlandzki szlachcic Denhof, podejmował króla śniadaniem. Ciekawa legenda związana jest także z pustelnią. Otóż Denhof miał syna jedynaka, którego bardzo ponoć kochał. Syn ten rozmiłował się w córce poddanego Denhofów i ojciec, by zapobiec ewentualnemu mezaliansowi, wysłał go na kilka lat w świat. Piękną pannę odprawił zaś z rodzicami potajemnie do jakiegoś mająteczku w Poznańskiem, a dom, w którym mieszkała, kazał zburzyć tak, ażeby zatrzeć wszelki ślad po romansie. Syn po powrocie nie zastawszy swej ukochanej, z rozpaczy pobiegł na pobliski wzgórek i zastrzelił się. Ojciec w wielkiej desperacji po stracie jedynaka wdział pokutne szaty, wyprowadził się z pałacu i zamieszkał w parkowej pustelni. Podobno przebywał tam aż do końca swego żywota. Pustelnia przetrwała po dzień dzisiejszy. Miejsce samobójstwa syna upamiętnione jest wielkim postumentem.

*Kominek w sali na parterze*

Cóż, historyjka sentymentalna, ale rzekomo prawdziwa. A wracając do rzeczywistości warto się już dziś zastanowić, jak ten pałac po odnowieniu rozsądnie i z pożytkiem wykorzystać. Wydaje mi się, że najlepiej byłoby stworzyć tam dom pracy twórczej dla łódzkiego środowiska naukowego i artystycznego. Warunki są wymarzone. Oczywiście, wymagałoby to trochę energii, pomysłowości i dobrej woli ze strony odpowiednich i odpowiedzialnych czynników. A także i ze strony środowisk twórczych. Należy mieć nadzieję, że w tej kwestii nastąpi większe zrozumienie potrzeb ludzi sztuki i nauki.

Rzecz jasna, sprawa nie jest pilna, remont pałacu dopiero się zaczął i potrwa zapewne parę lat, ale już teraz warto się zastanowić nad jego losem, by zapobiec jakiemuś niezrozumieniu.

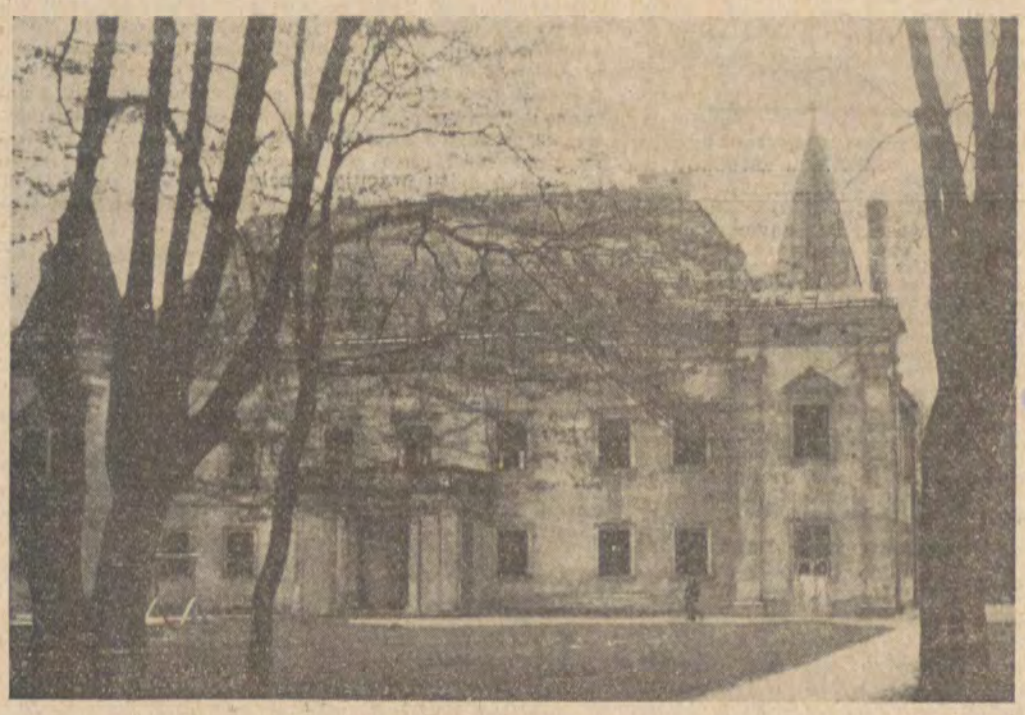

*Pałac, wiek XVII. Elewacja ogrodnicza*

STANISŁAW KASZYŃSKI

# KILKA UWAG O TŁUMACZACH

Ostatnio nasze czasopisma, w tym i „Odgłosy" (nr 5 z br.), przedrukowały list Jarosława Iwaszkiewicza, prezesa ZLP, w sprawie przekładów i tłumaczy. Uprawiam tę trudną sztukę dorywczo, na marginesie innych zajęć, myślę jednak, iż jest to wystarczający powód, bym mógł zabrać głos w tej dyskusji, mam bowiem nadzieję, że list ten wywoła szerszy i żywy oddźwięk.

Szczególnie zainteresował mnie fragment, objawiający zaniepokojenie „brakiem dopływu młodych, utalentowanych kadr tłumaczy, co niewątpliwie jest rezultatem nagminnego niedoceniania pracy tłumacza, jak i niedostatecznych bodźców materialnych, wcale nie zachęcających do ambitnych przedsięwzięć przekładowych". Trudno podważyć w całej rozciągłości słuszność tej konstatacji, lecz w pewnych punktach domaga się przynajmniej uzupełnień, dalszej dyskusji.

Dyskusyjny jest choćby fakt niedoceniania pracy tłumacza wysunięty jako jedna z poważniejszych przyczyn utrzymującego się stanu rzeczy. Przyjąwszy nawet, że tak jest, albo tak bywa, o czym świadczy niedostrzeganie w recenzjach trudu i zasług tłumacza, to przecież nie sposób tym wyjaśniać nikłego zainteresowania młodych działalnością translatorską. Przypuszczam, że nie jest to czynnik aż tak bardzo zniechęcający czy odstręczający od podejmowania takiej pracy. Wiemy z licznych przykładów, dawnych i teraźniejszych, iż boleją nad tym nie tylko tłumacze. Krytyka nie dostrzega lub zdawkowo komplementuje, a czasem ignoruje albo wręcz przemilcza dzieła oryginalne pisarzy, ludzi teatru, plastyków. A przecież sam fakt niedoceniania przez recenzentów, jakkolwiek nie mobilizuje do działania, ani nie przekreśla danej twórczości ani też nie prowadzi do jej zaniechania. Uznanie nie jest i być nie może miernikiem desinteressement. Gdyby Norwid czekał na uznanie ze strony czytającej publiczności i krytyków ówczesnych, nie pozostawiłby nam ni jednej linijki wiersza...

I drugi podany argument („niedostateczne bodźce materialne") wolno przyjąć z odrobiną rezerwy. Daleki jestem od tego, ażeby twierdzić, że stawki za tłumaczenia są wysokie i proporcjonalne do włożonej pracy. Tak nie jest, i najprawdopodobniej ten system honorowania długo się jeszcze utrzyma. Nie ulega wreszcie wątpliwości, że obowiązujące obecnie stawki wcale nie zachęcają do „ambitnych przedsięwzięć przekładowych". Coś na ten temat wiemy np. z wynurzeń tłumacza „Ulissesa". Nie bardzo natomiast orientuję się, które z przedsięwzięć przekładowych prezes J. Iwaszkiewicz uważa za ambitne, które za mniej ambitne, przeciętne itd. Kryteria mogą być różne, a skala obszerna. Wbrew pozorom, niełatwo o klasyfikację. Zakładając, że takim ambitnym przedsięwzięciem przekładowym jest niewątpliwie przekład dzieła klasycznego (np. poczytnej powieści) czy utworu teatralnego wybitnego pisarza współczesnego, to ekwiwalenty finansowe za podobne dokonania nie są aż tak skromne. W każdym razie nie należy tych spraw uogólniać. Gdyby ZAIKS zechciał ujawnić stan kont renomowanych tłumaczy, okazałoby się, że wspomniane bodźce nie przedstawiają się tak mizernie. Wystarczy tu prosty rachunek: druk sztuki, np. w „Dialogu", oraz wystawienie w kilku teatrach. Mój znajomy, współautor przekładu pewnego dzieła scenicznego pewnego klasyka, które przełożył tuż po wojnie, jeszcze dziś, i słusznie, czerpie z tego profity. Nie chcę nikogo obliczać, bo i po co. Kto zaś ciekaw, niech zajrzy do roczników „Almanachu Sceny Polskiej", indeksy ułatwią poszukiwania i rozeznanie wstępne w tej historii. Gorzej, oczywiście, wygląda ta sprawa na gruncie przekładów prozy, a zwłaszcza poezji, gdzie istnieją mniejsze szanse ponownego dyskontowania swej pracy.

Wydaje się, iż zagadnienie, zawarte w cytowanym fragmencie listu prezesa J. Iwaszkiewicza, należy rozpatrywać z innego jeszcze punktu widzenia, przez wskazanie dalszych przyczyn sprawczych aktualnej sytuacji, która budzi uzasadniony niepokój. Mówiąc najogólniej, skrótowo, rzecz polega na tym, jak przybliżyć i urealnić start młodym i zdolnym kandydatom na tłumaczy, jakie formy i zakres winna przyjąć opieka nad początkującymi adeptami w tym zawodzie. Nie jest tajemnicą, że zdobycie na tym polu nazwiska, które zagwarantuje dopływ tekstów, a co za tym idzie — umożliwi doskonalenie warsztatu, wcale nie jest takie proste dla ludzi pozbawionych określonych kontaktów zagranicznych i krajowych. Śmiem sądzić, że te ostatnie są najważniejsze, one decydują o wejściu na rynek. W szczególnie niedogodnej sytuacji znajdują się osobnicy mieszkający na prowincji, oddaleni od agend rozdzielczych i pozbawieni tzw. znajomości, które, jak uczy życie, są arcyużyteczne. Pewną poprawę w tej dziedzinie rokuje zakładanie działów przekładowych w wydawnictwach prowincjonalnych. W praktyce oznaczałoby to rozbijanie swoistej monopolizacji. Po jakimś czasie rozwój takich działów mógłby doprowadzić do częściowej likwidacji omawianego zjawiska. Ten środek zaradczy, pod warunkiem, że edytorskie ośrodki prowincjonalne uzyskają lepsze dane do stabilizacji, powinienby przyczynić się do przezwyciężania istniejącego impasu. W liście prezesa ZLP czytamy, że „sprawa naszej polityki przekładowej to kompleks ważnych i trudnych spraw, których rozwiązanie wymaga rozwagi i czasu". Po trzykroć prawda!

Nie łudźmy się wszakże, że wykorzystując niezbędną rozwagę i mając potrzebny czas zdołamy w sposób odczuwalny zmienić obecną rzeczywistość w krainie przekładu. Kto ograniczy monopol centralnych wydawnictw, a przede wszystkim kto zniesie czy podważy monopol pewnych tłumaczy, którzy niezwykle pilnie i wytrwale czuwają nad szerokimi terenami eksploatacji, kto dojdzie przed nimi do praw autorskich uznanych pisarzy? Mówi się nawet, że niektórzy z nich reprezentują kolektywy robocze, że posiadają prawa autorskie na... nie napisane jeszcze utwory. Kto wreszcie zajmie się systematycznym szkoleniem kadr tłumaczy? W obowiązującym programie studiów filologicznych nie ma kierunku, na którym by kształcono adeptów tej sztuki, sztuki, ale i rzemiosła. A może niepotrzebna jest taka placówka, wybitne osiągnięcia polskich tłumaczy powstały poza murami szkółek. A jednak...

Z akcentem zakłopotania odczytuję końcowe przekonanie, wyrażone w liście, że „zamieszczenie tego apelu(?) (...)zmieni dotychczasową sytuację na lepsze". Jeżeli pragnienie zmiany ma wystarczyć to powinniśmy być istotnie całkowicie zadowoleni.

---

**— Styl pracy w studio był wtedy inny, prawda?**

— Na wagę złota były przede wszystkim pomysły. Kiedyś wymyśliliśmy nawet odznaczenie, które żartobliwie nazwaliśmy Orderem Bumelanta. Ale wbrew nazwie była to odznaka pozytywna. Otrzymywał ją ten, kto na planie zrobił coś pożytecznego. Wszystko jedno w jakiej dziedzinie. Mogło to być drobne usprawnienie techniczne, lub podszepnięcie jakiegoś zgrabnego rozwiązania reżyserowi. Przykład? Jest dłuższa przerwa w zdjęciach. Aktor rozpina sobie kołnierz munduru, w który jest ubrany, odpoczywa. Wreszcie plan jest gotów. Aktor zajmuje miejsce to co poprzednio, zapalono światła, już ma ruszyć kamera. Nagle ktoś (wszystko jedno kto, elektryk, asystent, inny aktor) woła: „Stop! On ma nie zapięty mundur!" Sytuacja jest uratowana. Gdyby ów ktoś nie zwrócił uwagi, skręcono by materiał nie montujący się z nakręconym poprzednio, gdzie aktor miał mundur zapięty pod szyję. Robota poszłaby na marne. A więc dla spostrzegawczego — Order Bumelanta!

**— Ze słów twoich wnoszę, że podział pracy nie był w tych czasach tak przestrzegany jak dziś.**

— Oczywiście, że nie. Jakoś wszyscy czuliśmy się odpowiedzialni za wszystko. Bywało, że pod koniec realizacji filmu dochodziło do idealnego wręcz zgrania ekipy. Wszystko szło jak z płatka. Już każdy wiedział, że aktor o szóstej rano nie zagra dobrze swej roli, że trzeba mu dać czas na przygotowanie się psychiczne i że wreszcie plan i tak nie będzie gotowy o tak wczesnej porze. Ale do takich rewelacyjnych odkryć trzeba było dojść stopniowo. Aż żal było się rozstawać, gdy film był gotów, bo właśnie złapaliśmy właściwy rytm w robocie.

**— Twoje doświadczenie pozwala ci spojrzeć z odpowiedniego dystansu na aktorstwo filmowe. Czy zechciałbyś coś powiedzieć na ten temat?**

— Autonomia aktora w filmie jest mniejsza niż w teatrze. To oczywiście, truizm, ale trudno go w tym wypadku nie powtórzyć. W teatrze reżyser udzielający mi wskazówek odnośnie mojej roli musi mnie o ich celowości przekonać. W filmie sprawa polega na zaufaniu do reżysera. To on — nie ja — ogarnia wyobraźnią całość postaci, jaką mam zagrać. Muszę mu uwierzyć, gdy mi powie: „Chłopie, tu zagraj dyskretniej, bo w tym miejscu chcę wpuścić muzykę!" On ma koncepcje montażowe, ja zaś ograniczam się do tego wycinka roli, który mam właśnie odegrać przed kamerą.

**— Właśnie! Kamera. To także partner dla ciebie.**

— A, tak! Ona dyktuje inne sposoby gry. W jakiś sposób przeszkadza spontaniczności, ale muszę to zaakceptować wbrew sobie. Gdy mam w teatrze zagrać gniew, walę — dajmy na to — pięścią w stół i zrywam się na równe nogi. Przed kamerą także walę w stół, po czym podnoszę się bardzo powoli. Zwalniam rytm, ale muszę jednocześnie zachować temperaturę swojej reakcji. To nie jest łatwe, ale mam satysfakcję, gdy uda mi się dyskretniejszymi środkami nadać scenie tę samą albo większą wartość dynamiczną. No, i wreszcie na scenie jestem sam montażystą. Środkami aktorskimi ściągam uwagę widza na siebie, gdy to wynika z sytuacji, co zastępuje filmowe zbliżenie. W filmie zrobi to za mnie najazd kamery.

**— Czas, jaki wyznaczyliśmy sobie na rozmowę dobiega końca. Chociaż wyżej cenisz sobie teatr, pozwól, że będę ci życzyć dalszych co najmniej czterdziestu ról filmowych!**

**Rozmawiał:**

**WŁADYSŁAW ORŁOWSKI**

JACEK FRÜHLING

# Warszawski notatnik teatralny

Dobrze się stało, że Teatr Narodowy sięgnął po „Na dnie" Gorkiego. Utwór ten bowiem, napisany kilkadziesiąt lat temu, pozostał genialną opowieścią sceniczną o ludziach poza nawiasem życia, których nie jest w stanie wyeliminować żaden ustrój. Opowieść ta, wyrażona prosto, lapidarnie, zrozumiale dla każdego, choć w pewnym stopniu stała się już rodzajem fresku, zachwyca i olśniewa znajomością człowieka i kunsztem scenicznym pisarza. A równocześnie staje się bliska widowni, gdyż nie ma w niej nic wydumanego, sztucznego, nieszczerego. Jakże żałośnie, ubogo i pusto wygląda w konfrontacji z dramatem Gorkiego współczesny autor dramatyczny, nie tylko polski.

Reżyser Jan Maciejowski nie dał widowni do rozwiązania żadnych mętnych zagadek, niczego nie udziwnił, zawierzył Gorkiemu i wygrał. Poziom wykonawczy widowiska na ogół bardzo wysoki. Największe zainteresowanie i rezonans budzi postać starego Łuki. Swego czasu w Związku Radzieckim toczono na jego temat zaciekłe polemiki. Zarzucano wykonawcom tej roli, że niepotrzebnie ujmują Łukę jako człowieka, czyniącego dobro przez to, że stawszy się powiernikiem ludzi z zaburty, wysłuchując cierpliwie ich opowieści o przegranym życiu, przynosi im ulgę. Pewien odłam krytyki radzieckiej twierdził, że jest to ujęcie fałszywe i niesłuszne, bo postawa Łuki to tylko coś w rodzaju agitacji za niesprzeciwianiem się złu. Z biegiem czasu polemiki te zamilkły. Łuka, starzec bystry, inteligentny, wnikliwy, to w recepcji widowni i w Związku Radzieckim i na całym świecie przede wszystkim człowiek czyniący dobro. W tej tonacji prezentuje go Kazimierz Opaliński, słucha i mówi, angażując umysł i serce, nie jest ani przez chwilę przesłodzony, nie rozczula się nad bezmiarem cierpień człowieczych, ma w sobie rozbrajającą wobec nich bezradność.

W bogatej, barwnej, plastycznej plejadzie ludzi, którzy stoczyli się na dno, na czoło wysuwa się Mariusz Dmochowski jako Satin. W przeciwieństwie do licznych wykonawców tej roli na przestrzeni lat, Dmochowski wypowiada niezapomniane słowa „Człowiek to brzmi dumnie" bez ironii i patosu, pozostawiając interpretację tych słów widowni. Złodziej Waśka znalazł w Mieczysławie Kaleniku wykonawcę, któremu się wierzy, że naprawdę chciałby zacząć inne, lepsze życie. Brutalną chamską przemoc pachołków bezmyślnej zwierzęcej władzy ukazują bez przeciągania struny Kazimierz Wichniarz i Lech Ordon.

* * *

Teatr Rozmaitości przypomniał „Szklankę wody" Eugeniusza Scribe'a, jednego z najwybitniejszych komediopisarzy francuskich ubiegłego stulecia. Publiczność rozkoszuje się zarówno fabułą, jak również ekwilibrystyką słowną utworu, rozgrywającego się na angielskim, królewskim dworze.

Z wykonawców pierwsze skrzypce jako królowa Anna gra Aleksandra Kaszyńska. Ma w sobie naiwność i prostotę dziecka, ale kiedy odezwą się w niej zmysły, uległe cielątko zmienia się niemal w lwicę. Główna postać męska sztuki to lord Bolingbroke. Polityk, publicysta, intrygant, inteligencją i bystrością przerastający otoczenie. Eugeniusz Kamiński dobrze, chwilami wręcz świetnie, poradził sobie z tą rolą.

* * *

Teatr Dramatyczny uczcił 15-lecie swego istnienia „Zemstą". Trochę to dziwne, że scena ta, w której jak u siebie w domu czują się Duerrenmatt, Frisch, Yonesco i Różewicz, wybrała na jubileusz właśnie Fredrę. Można by to zrozumieć, gdyby przedstawienie wyróżniało się czymś nowym, rewelacyjnym. Niestety tak nie jest. Zwłaszcza jeżeli chodzi o stronę wykonawczą. Jak się należało spodziewać Świderski jako Cześnik, Holoubek jako Rejent, dają kreacje nie budzące zastrzeżeń. Gorzej wygląda sprawa z Papkinem, zwłaszcza dla niedobitków starszego pokolenia, którzy w tej roli mieli szczęście widzieć i słyszeć Jerzego Leszczyńskiego, (genialne prowadzenie wiersza Fredry, rozmach, tempo, obrazowość, całkowite zrośnięcie z postacią i tekstem) Wiesław Gołas jeden z najwybitniejszych aktorów młodego pokolenia, potrafi wywołać wybuchy śmiechu, olśniewać akrobatyką, ale jakże mu daleko do oczajduszy Papkina, którego główna broń to fajerwerki gadulstwa, wybuchające jak kolorowe race. Rola to zresztą arcytrudna, nawet Solski nie dał jej rady. Co można wydobyć z epizodu, pokazał jako Dyndalski Czesław Kalinowski.

* * *

Teatr Ludowy przypomniał swojej publiczności „Turonia" Żeromskiego. Jest to sztuka o Jakubie Szeli, ale nie tylko o nim. Również o szlachcie polskiej, która w okresie ruchów wolnościowych z lat czterdziestych ósmych chciała za wszelką cenę przechwycić kierownictwo buntem chłopskim. Żeromski ukazuje, z jaką nieufnością i nienawiścią chłopi w ówczesnej Galicji Zachodniej odnieśli się do Cedrów i Olbromskich. Dramat, utrzymany w tonacji mrocznej i ponurej, lśni jak brylant wspaniałym językiem, zrośniętym nierozerwalnie z wsią polską. Rzecz, ujęta melodramatycznie, rozgrywa się w ciągu jednej nocy. Zwierzęcości, okrucieństwu i mściwości Szeli autor przeciwstawia jego najwierniejszego zausznika, chłopa Chudego, który w pewnej chwili zrozumiał, że na zemście, prywacie i grabieży nie można niczego zbudować.

Sztuka, wystawiona w latach międzywojennych w Reducie, nabrzmiała gniewem, rozdzierająca bolesne rany, wymaga reżyserii, która by tonowała momenty i spięcia zbyt melodramatyczne. Niestety obecny reżyser „Turonia", Roman Kłosowski poszedł raczej po linii popularnego widowiska z tak zwanymi mocnymi akcentami, a chłopi chwilami sprawiają wrażenie, jakby byli rodem nie z Żeromskiego, ale z anczycowskiego „Kościuszki pod Racławicami". Emil Karewicz jako Szela chyba zbyt jednostronnie potraktował tę postać, choć starał się wyłamać z widowiskowego tonu i próbował gry mniej zewnętrznej, bardziej psychologicznej.

## Listy DO REDAKCJI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Nawiązując do listu p. Jacka Frühlinga w sprawie nadania Teatrowi Powszechnemu imienia Karola Adwentowicza („Odgłosy" nr 7 z br.) chciałbym przede wszystkim wyrazić ubolewanie z powodu zupełnego niezrozumienia intencji mojego artykułu w tej kwestii. Aż dziw bierze, że pisarz tak wytrawny jak p. J. Frühling tak nieuważnie i powierzchownie odczytał mój artykuł. Jestem zatem zmuszony powtórzyć w skrócie myśl przewodnią i argumentacje tam wyłożone. Otóż wystąpiłem zdecydowanie w obronie wielkiego aktora jako patrona Teatru Powszechnego, relacjonując m. in. pretensje, jakie tu i ówdzie podnoszą nie znani mi bliżej ludzie. Pisałem, że Karol Adwentowicz ze wszech miar zasługuje na ten zaszczyt, lecz nie z tytułu pełnienia przezeń funkcji dyrektora. Zasługuje na tę godność ze względu na to, że był wspaniałym aktorem — społecznikiem. P. J. Frühling wraca wszakże do motywu zasług K. Adwentowicza jako dyrektora, pisząc w swym liście, iż moja ujemna ocena tego fragmentu jego działalności jest nie do przyjęcia. Na wstępie trzeba sprostować pomyłkę p. J. Frühlinga. K. Adwentowicz nie prowadził Teatru Powszechnego w Łodzi od 1945 roku, lecz dopiero od 1948 do 1950. Przed rokiem 1948 grał tylko za dyr. Leona Schillera w Teatrze Wojska Polskiego w Szekspirowskiej „Burzy" w roli Prospera, potem, również w ramach gościnnych występów, w „Lisim gnieździe" L. Hellmann; tę sztukę wznowił zresztą w czasie swojej dyrektury w Teatrze Powszechnym. Nie sposób zgodzić się także z opinią p. J. Frühlinga jakoby „okres łódzki po drugiej wojnie światowej był raczej ukoronowaniem wspaniałego żywota, wspaniałej działalności artystycznej i społecznej wielkiego artysty". Niestety tak nie było, odwrotnie. Były to lata zmierzchu sztuki tego aktora. Wystarczy choćby odczytać fragmenty jego „Wspominków", aby przekonać się o tym. Piszę o tym obszernie w swojej książce „Teatr łódzki w latach 1945—1962". Co wcale przecież nie oznacza, iż te fakty przekreślają czy zaciemniają jego dawniejsze wybitne osiągnięcia. To, że wystąpiłem w obronie zasług Karola Adwentowicza, domagając się nadania Teatrowi Powszechnemu jego imienia, świadczy najlepiej, iż reprezentuję identyczny pogląd co p. J. Frühling. Zechce Pan przyjąć, Panie Redaktorze, słowa szacunku.

STANISŁAW KASZYŃSKI

Łódź, 12 II 1971

## TP OBIEKTYW

### GDY PUSTOSZEJĄ ULICE

Środa, na parę minut przed ósmą wieczór. Wsiadam do taksówki i mówię adres. Kierowca uruchamia maszynę i mówi:

— Spieszy się pan na Forsyte'ów, prawda? Ja już oglądałem rano.

Po „Klossie" „Ściganym" i „Kolumbach" jesteśmy świadkami nowego sukcesu serialu telewizyjnego. Od pięciu miesięcy w społeczeństwie naszym zapanowała cicha, niepisana umowa. W porze emisji „Sagi rodu Forsyte'ów" ulice pustoszeją, a natomiast zapełniają się wszystkie miejsca siedzące przed telewizorami.

W stosunku do poprzednich seriali, które biły rekordy powodzenia, sukces „Sagi" jest cichszy, mniej się z nim obnosimy. A przecież stopień zainteresowania mimo to ogromny. Taki rezultat wart jest przeanalizowania, gdyż zbadanie anatomii sukcesu społecznego (i to o zasięgu międzynarodowym) ma charakter pouczający.

Wspomniane wyżej seriale triumfowały głównie dzięki dwom czynnikom: sympatycznej postaci bohatera, z którym widz chętnie się utożsamiał, i pełnej napięcia akcji. Nic z tych rzeczy nie znajdziemy w „Sadze". Czy z którymś z bohaterów czujemy się do końca solidarni? Z Soamsem? Bardzo nam (to zasługa świetnego Portera) w ostatnich odcinkach zsympatycznial, ale przecież nie zapomnieliśmy mu brutalnego postępku wobec Ireny.

A więc może egocentryczna i nie zawsze uczciwa w postępowaniu Fleur? Albo sympatyczny, ale brzydki i nieefektowny Michał Mont? Piękna Irena? Tolerancyjny Jolyon? Ich syn Jon? Czy wreszcie Winifreda? Zdajemy sobie sprawę, że każda z tych postaci ma swoje zalety, ale żadna nie wysuwa się na tyle przed inne, byśmy ją mieli kreować na naszego bohatera.

A fabuła? Wypreparowana z pięciu tomów powieści — rzeki Johna Galsworthy'ego (3 tomy „Sagi" i 2 tomy „Nowoczesnej komedii"), pozbawiona bogatego kontekstu społeczno-obyczajowego wiktoriańskiej i postwiktoriańskiej Anglii, pozszywana często dość tandetnym ściegiem przez adaptatora, nie niesie przecież żadnych rewelacji. Raczej płynie dość leniwym nurtem, tworząc czasem niewielkie wiry i spiętrzenia.

A więc ani porywające postaci bohaterów, ani elektryzująca akcja nie stanowią o walorze „Sagi rodu Forsyte'ów" w reżyserii Dawida Gilesa. Serial nie dostarcza nam silnych przeżyć zastępczych, które ubarwiałyby nasze ubogie w przygody życie współprzeżywaniem atrakcyjnych losów gwiazd na ekranie. Jestem niemal pewny, że ta ekranizacja „Sagi", ograniczająca się do względnie wiernego przeniesienia głównych wątków fabularnych powieści, a więc będąca zbiorem ruchomych ilustracji do książki Galsworthy'ego, w kinie nie spotkałaby się z tak entuzjastycznym przyjęciem widowni.

Dochodzi tu do głosu wyraźna odmienność percepcji filmu na ekranie telewizyjnym, w warunkach odbioru domowego, w fotelu i miękkich pantoflach. Nie wymienionym w czołówce filmu bohaterem „Sagi" jest Codzienność. Zwykłość i przeciętny wymiar charakterów ludzkich, gruntowne wymieszanie wad i zalet bohaterów, ich miniaturowe, nie na miarę antyczną, rozterki i dramaty, i niezmienny rytm naturalnego przemijania generacji i pokoleń — to zasadnicze akcenty serialu Dawida Gilesa. One właśnie wydają się leżeć jak ulał w modelowym wzorcu rozrywkowego programu telewizyjnego.

Z pewnością nie uczyniono dobrej przysługi nowemu polskiemu serialowi „Doktor Ewa", pozwalając mu nałożyć się w czasie z trwającą emisją „Sagi rodu Forsyte'ów". Na jej bowiem tle ujawniają się w sposób okrutny naiwności scenariuszowe i realizacyjne naszego filmu odcinkowego. Zamiast pójść w kierunku ukazania naszej polskiej codzienności, autorzy serialu dążą z uporem do demonizowania i usensacyjniania rzeczywistości. Daje to nieraz na ekranie efekty nie zamierzonego komizmu.

Należałoby chyba w naszych serialach współczesnych bardziej dbać o prawdę życiową niż o tak zwany dreszczyk emocji. Taki wniosek nasuwa się w związku z powodzeniem „Sagi".

W.O.

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE

„ZŁOTO MACKENNY" w reżyserii Lee Thompsona należy do najbardziej imponujących widowisk filmowych, jakich jest w stanie dostarczyć dziś kino. Film ten oglądany w jego 70-milimetrowej wersji z całym bogactwem obrazowych i stereofonicznych efektów, musi budzić zachwyt, będąc wynikiem satysfakcji danej naszym zmysłom. Wydaje się, iż kunszt artystyczny i techniczne możliwości sztuki operatorskiej i dźwiękowej doprowadzono w tym filmie do perfekcji. Toteż nawet ci, którzy cenią sobie bardziej szlachetne w gatunku bądź nośności intelektualnej westerny, „Złoto Mackenny" obejrzą także z dużą satysfakcją.

Wspominam ową szlachetność westernu mając na uwadze cały rozwój i przemiany, jakim uległ ten gatunek filmowy na przestrzeni swych dziejów. Przypomnijmy tu zarówno wzory westernów klasycznych, dalej westerny intelektualizujące, oraz te, które uzyskawszy żartobliwe miano „spaghetti westernów" łamią prawo gatunku, nasycając je okrucieństwem i erotyzmem, przypomnijmy westerny — komedie czy parodie. „Złoto Mackenny" wydaje się jeszcze inną wersją gatunku, filmem, w którym znajdujemy sceny i sytuacje przed laty w westernie niemożliwe i tym samym łamiące reguły gry, do której przywykliśmy.

Na pozór wszystko jest tak samo. Ogólna rama fabularna stanowi typową westernową opowieść. Film przedstawia dzieje ludzi opanowanych żądzą złota, która nie omija nikogo. Jeden szeryf Mackenna, który wiele lat życia strawił na bezskutecznym poszukiwaniu złota, zachowuje pełną rezerwy postawę. Dzieje wyprawy po legendarne złoto Apaczów i perypetie sterroryzowanego przez bandytów szeryfa — to treść filmu. Nie ona jednak przesądza o owych wyżej wspomnianych regułach gry. Thompson, jak wypada reżyserowi nowoczesnego westernu, zaciera granice między czarnymi i białymi charakterami. Szeryf Mackenna wcale nie jest tak szlachetny jakby wypadało, jest, po prostu, rozsądny. Colorado — krwiożerczy bandyta ma swoje chwile słabości, bywa też dzięki Omarowi Sharifowi zupełnie sympatyczny. Okrutne zbiorowe masakry i pojedyńcze walki na śmierć i życie dalekie są od umowności aktów zabijania w starych westernach. Jest to również danina wobec typowych tendencji współczesnego dnia. Scena arkadyjskiej sielanki nad jeziorkiem, w której prezentuje nam się akty Colorado — Sharifa i podwodne zaloty upartej Indianki wobec nieprzystępnego Mackenny — Pecka, to już zabawa niebywała w westernie. W „Shalako" B. Bardot wprawdzie swe nagie wdzięki już prezentowała, ale rozebranych kowbojów kino jeszcze nie miało. Idźmy dalej — „Złoto Mackenny" zaczyna się jak legenda — jej konwencje łamie się w ciągu całego filmu, końcowe zaś sceny są już baśnią z tysiąca i jednej nocy, która nie mieści się nawet w tradycji nieprawdopodobnych przecież często opowieści westernowych. Pointowy dowcip filmu jest mrugnięciem oka realizatorów, którzy jeszcze raz na koniec przypominają nam, że wszystko było tylko zabawą w kino. Tym samym łamią to, co nas z westernem tak wiązało. Traktowano nas zawsze poważnie, tak też i traktowano temat — dawano dwie godziny złudy i wiary w wielką przygodę, przenoszono w czasy i miejsca niedostępne. Może ten dystans wobec sprawy to znak naszych czasów — macie wszystko co chcecie: rozmach westernowych pejzaży, znanych wam bohaterów i ich przygody, ale pamiętajcie, iż to tylko nasza i wasza zabawa. Chciałoby się zakończyć słowami: „A jednak mi żal...".

„PAN DODEK" to antologia fragmentów przedwojennych komedii filmowych, w których królował Adolf Dymsza, to film o Dymszy i o tym, z czego Polacy śmiali się przed czterdziestu i trzydziestu laty. To, iż realizatorzy filmu (scenariusz: K. T. Toeplitz, reżyseria J. Łomnicki) zrezygnowali z powojennych ról Dymszy („Skarb", „Nikodem Dyzma", „Sprawa do załatwienia") jest wyrazem zarówno ich intencji, jak przede wszystkim samego aktorstwa Dymszy. Aktor ten w swych przedwojennych filmowych rolach uosabiał typ warszawskiego cwaniaka, a robił to znakomicie. „Pan Dodek" nie tyle jest monografią aktora, ile właśnie owego społecznego typu. Gdy dziś oglądamy fragmenty Dymszowskich filmów, budzi niejednokrotnie naszą wątpliwość walor humoru w nich reprezentowanego. Pozostał jednak Dodek, postać arcykomiczna oraz aktor, który we wszystkich swych filmach sytuacje komediowe wywołuje nadmiarem żywotności, temperamentu i sprytu swego bohatera, stwarzając tym samym pewien typ komediowej postaci. Jego „cwaniak" to postać, której każdy gest, działanie i wypowiedź to istna ekwilibrystyka między społecznie mu przypisanymi cechami a tymi, którymi legitymuje się środowisko bogatych, wśród których się nie było. W ten sposób Dymsza obdarował swego bohatera sympatycznością i kabotynizmem. Znając poziom reżyserski komedii, w których grywał, ta konsekwencja wydaje się wynikiem pełnej samoświadomości aktora.

Tym, którzy sądząc Dymszę z jego ról powojennych, nie zawsze rozumieli jego dawne sukcesy i popularność, film odkrywa nieznanego, dobrego, komediowego aktora.

EWA NURCZYŃSKA

# Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

### SZTUKA NEPALU

Nepal jeszcze ćwierć wieku temu był krajem niemal zupełnie nie znanym w Europie. Europejczycy zjawiali się tam rzadko z wyjątkiem Anglików, którzy przybywali po to tylko by werbować żołnierzy do swej armii indyjskiej.

Kraj ten posiada swą specyficzną kulturę, czego najlepszym świadectwem jest bogactwo wspaniałych zabytków architektonicznych. Krzyżowały się tu wpływy zarówno Indii jak i Chin, co nie pozostało bez wpływu na architekturę i sztukę Nepalu.

Rozwój nauki rozpoczął się tu od połowy XIX w. wraz z rozwojem szkół świeckich. Później, już w roku 1957 utworzona została nepalska królewska Akademia. W roku 1959 w Katmandu, stolicy Nepalu, otwarty został pierwszy w tym kraju uniwersytet.

W roku 1965 powstaje w Katmandu stowarzyszenie artystyczne NAFA, grupujące twórców uprawiających sztuki piękne. NAFA co roku organizuje wystawy dzieł artystów nepalskich i zagranicznych. Od roku 1970 wydaje czasopismo artystyczne.

Członkowie NAFA biorą też żywy udział w międzynarodowych wystawach plastycznych. I tak uczestniczyli oni w takich wystawach organizowanych w Indii, Czechosłowacji i Japonii (podczas „Ekspo-1970"). W roku 1970 odbyła się w Katmandu staraniem stowarzyszenia, pierwsza w dziejach Nepalu, międzynarodowa wystawa dzieł sztuki.

W wystawie tej wzięli udział artyści ponad dwudziestu krajów. Eksponowano około 100 dzieł. Nepalscy artyści pokazali czternaście obrazów i cztery rzeźby.

Do wybitnych malarzy nepalskich starszego pokolenia należy m.in. 70-letni Czandra Man Singh Mackey. Jest on absolwentem szkoły sztuk pięknych w Kalkucie. Wróciwszy po studiach do kraju, maluje

*Manik Man Czitrakar — Wiejska orkiestra*

*Keszewa Duwadi — zbiór orzechów kokosowych*

głównie portrety i pejzaże, sceny wiejskie z ich charakterystyczną obyczajowością i sceny pasterskie. Jego wybitnym dziełem jest m.in. wizerunek Kriszny z fletem. W akwareli tej znać wyraźne oddziaływanie wpływów sztuki indyjskiej.

Wśród twórczości młodych przewijają się najrozmaitsze tendencje artystyczne od kontynuowania starych, tradycyjnych form opartych na elementach folkloru aż po malarstwo abstrakcyjne. Nie sposób więc określić tej twórczości jako czegoś jednolitego. Z młodego pokolenia artystów wyróżniają się m.in. malarka i rzeźbiarka Suszma Simkhada, absolwentka jednego z uniwersytetów indyjskich, Ramananda Joshi, Dipak Simkhada, Manik Man Czitrakar, Lain Sing Bangdel czy też Thakura Prasad Mainali autor oryginalnej konstrukcji architektoniczno - rzeźbiarskiej, pomnika narodowego wzniesionego w latach 1966—1969.

Interesujący artykuł o sztuce Nepalu znajdujemy w ostatnim jaki do nas dotarł, numerze radzieckiego miesięcznika „Iskusstwo" (nr 1 z 1971 r.). Autorem artykułu jest S. Tjuliajew, który w zeszłym roku odwiedził Nepal i zaznajomił się tam z twórczością współczesnych artystów tego ciekawego kraju.

### „LOVE STORY" NIE BĘDZIE NAJLEPSZĄ KSIĄŻKĄ ROKU

Pisaliśmy niedawno o ostatnim bestsellerze amerykańskim, książce Ericha Segala pt. „Love Story". W ostatnich dniach tłumaczenie tej powieści wysunęło się na pierwsze miejsce spośród książek najbardziej czytanych we Francji. Film nakręcony na podstawie tej książki został wyświetlony w 167 kinach amerykańskich przynosząc 12 milionów dolarów zysku. Według przewidywań znawców podobnym sukcesem będzie się cieszył i w Europie.

A jednak „Love Story" nie uzyska tytułu „najlepszej książki roku" w Stanach Zjednoczonych. National Book Committee przyznający owo wyróżnienie, skreślił powieść Segala z listy książek ubiegających się o ten tytuł. William Styron, jeden z pięciu członków National Book Committee oświadczył, że powieść Segala jest książką banalną, która nie ma nic wspólnego z literaturą piękną i gdyby komitet utrzymał ją na liście dzieł walczących o wyróżnienie byłoby to ujmą dla innych powieści.

### NIE PUBLIKOWANE PISMA TZARY UKAŻĄ SIĘ W RUMUNII

Dwadzieścia nie publikowanych dotąd poematów Tristana Tzary, znalezionych w archiwach poety, ukaże się w rumuńskim wydawnictwie „Cartea Romaneasca". Książkę redaguje Sasa Pana, przyjaciel Tzary.

Przypomnijmy, że Tristan Tzara (1896—1963) poeta pochodzenia rumuńskiego był jednym z głównych twórców ruchu Dada, a następnie odegrał ważną rolę w procesie przekształcenia tego ruchu w surrealizm. W roku 1919 Tzara wraz z Bretonem i Aragonem założył w Paryżu czasopismo „Litterature".

### WYSTAWA FOLKLORU CYGAŃSKIEGO

Paryżanie po raz pierwszy mają okazję do zapoznania się bliżej z cygańskim folklorem. Na otwartej ostatnio wystawie pokazano ciekawe wyroby artystycznego rzemiosła cygańskiego m.in. instrumenty muzyczne wykonywane przez Cyganów jak skrzypce, gitary oraz rzeźby z miedzi i drewna. W trakcie trwania wystawy artystyczne zespoły cygańskie prezentują swe tańce i śpiewy. Zwiedzający wystawę częstowani są herbatą z samowara i cygańskimi smakołykami.

### SPÓR O POMNIK JOANNY D'ARC

Rouen, miasto w północnej Francji, gdzie w roku 1431 została spalona na stosie Joanna d'Arc, żyje ostatnio sporem o kształt pomnika dla uczczenia tej bohaterki narodowej Francuzów.

Samo wzniesienie pomnika jest zagadnieniem nie nowym. Od dawna w Rouen zamierzano postawić pomnik Joannie d'Arc, a pięćdziesiąt lat temu zdawało się, że budowa zostanie już sfinalizowana. Nic jednak z tego nie wyszło. Obecnie sprawa ta znowu nabrała aktualności gdyż plac Starego Rynku, ten właśnie na którym spłonęła Joanna, uwolniony ostatnio został od straganów i hal targowych, które przeniesiono na krańce miasta. Dziś więc, bardziej niż kiedykolwiek, jest okazja do postawienia tu pomnika.

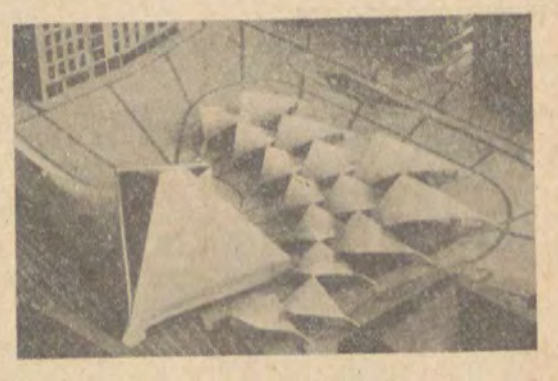

*Makieta pomnika Joanny d'Arc. Według projektu Louisa Arretche.*

Tylko jaki to ma być pomnik? Wszyscy w Rouen zgadzają się, że go wznieść należy, ale obywatele miasta dzielą się w tej kwestii na „tradycjonalistów" i „modernistów". Pierwsi pragną zrekonstruować cały rynek w takiej formie w jakiej istniał w XV wieku i dopiero w takim otoczeniu wznieść pomnik. Projekt ten popiera miejscowe kupiectwo, które spodziewa się, iż taka rekonstrukcja ożywi turystykę, a więc i handel. Zwrócono się do architektów. Ci jednak orzekli, że sprawa rekonstrukcji będzie bardzo trudna i kosztowna, bowiem nie zachował się ani jeden dom z dawnych czasów. „Moderniści" cieszący się zresztą uznaniem większości radnych miejskich chcą aby na rynku wybudować pomnik z daleka widoczny, zakomponowany nowocześnie według projektu architekta Louisa Arretche. Jego projekt wywołuje jednak ostre sprzeciwy „tradycjonalistów", ze względu, na ich zdaniem, zbytnią nowoczesność i śmiałość pomysłu architektonicznego. Jeszcze inni ze zwolenników budowy pomnika wysunęli trzeci projekt. Otóż są oni zdania, że cały plac rynkowy należy zamienić na park pełen zieleni, pod ziemią zaś zbudować przybytek kultu św. Joanny d'Arc.

„Może zechcecie jeszcze umieścić Jeanne d'Arc w stacji metra?" — skwitował ten projekt ironicznie Andre Malraux.

## „ŁODZIANIE 1970"

Rozstrzygnięty został, ogłoszony w numerze 51/52 „Odgłosów" z roku 1970 konkurs-plebiscyt pn. „Łodzianie 1970", którego laureatami, decyzją naszych Czytelników zostali: **ROMAN KACZMAREK**, bibliotekarz, **WACŁAW KONDEK**, artysta-plastyk i **ANDRZEJ MAKOWIECKI**, dziennikarz. Prócz tego decyzją kolegium redakcyjnego „Odgłosów" dodatkowy tytuł „Łodzianki 1970" przyznano **IRENIE CHOJNACKIEJ** za bohaterską postawę w obronie mienia społecznego. Wszystkim laureatom serdecznie gratulujemy.

Równocześnie rozlosowano nagrody dla Czytelników, którzy swoim uczestnictwem w plebiscycie przyczynili się do powodzenia naszej inicjatywy. Nagrodę pierwszą, radio tranzystorowe „Meridian", otrzymuje p. Michał Strzelecki, pracownik umysłowy zam. w Łodzi, Obywatelska 69; nagrodę drugą, kilim cepeliowski, otrzymuje p. Henryk Znański, nauczyciel zam. w Zgierzu, ul. Świerczewskiego 77. Nagrodę trzecią, album pt. „Wyspiański", otrzymuje p. Barbara Rezler, polonistka, zam. w Łodzi, ul. Jaracza 32.

Nagrody książkowe otrzymują: Joanna Kopka, bibliotekarka, zam. w Łodzi, ul. Ogrodowa 12, Ferdynand Rączka, rencista, zam. w Łodzi, ul. Kopcińskiego 39, Marian Biernacik, inżynier, zam. w Łodzi, ul. Inflancka 16, Henryk Środka, technik-włókiennik, zam. w Łodzi, ul. Skalna 28, Zdzisław Kaźmierczak, pracownik umysłowy, zam. w Łodzi, Rewolucji 1905 r. nr 11. Nagrody książkowe prześlemy pocztą.

## OD NIEDZIELI DO NIEDZIELI

## ŚMIETNIK WYDAWNICZY

**DO RZECZY CZY OD RZECZY? — FAKTY I WRAŻENIA — BREDNIA O ODRZUTACH — KSIĄŻKI LEPSZE I GORSZE — GNIEWNI NA ZAWOŁANIE — PRACE NAUKOWE NA POWIELACZU?**

Przeczytałem w „Kulturze" tytuł „Śmietnik wydawniczy — zło konieczne?", więc pomyślałem sobie — „oho! znów pewno wycieczki pod adresem wydawnictw pozawarszawskich". No i nie pomyliłem się. Jest już regułą, że jeśli trzeba skrytykować jakiś fragment polityki i praktyki wydawniczej, sięga się do przykładów spoza Warszawy. A już osobliwie lubią tę metodę debiutanci z warszawskiego Koła Młodych. Świadczy to bardzo chwalebnie o ich umiejętności życia i dużej zdolności przystosowania się do (warszawskiego) środowiska.

Ale do rzeczy, choć autor „Śmietnika" pisze miejscami bardzo od rzeczy. Oto próbka: „spora ilość książek wydanych przez np. Wydawnictwo Łódzkie czy Lubelskie — to odrzuty z wydawnictw centralnych". Jest to po prostu oczywista brednia i ta brednia ma służyć autorowi do podpierania tez słusznych i postulatów rozsądnych!

Pisząc dalej o „śmietniku wydawniczym" stwierdza autor, że „przodują tutaj przeważnie wydawnictwa prowincjonalne, które — takie można odnieść wrażenie — wydają pewne książki chyba tylko dlatego, by wykazać się wykonaniem planu".

Myślę, że w publicystyce lepiej opierać się na znajomości faktów i na konkretach niż na wrażeniu. Mało kogo przecież obchodzą wrażenia pana T. na temat dość złożony i niezbyt uczciwe są — nie wiadomo skąd wzięte — informacje na temat „odrzutów" wydawniczych publikowanych masowo na prowincji. Ta druga zdumiewająca informacja też pewno oparta jest o wrażenia... Bo na pewno nie o fakty. Znam natomiast z łódzkiego podwórka fakty, że książki, z których zrezygnowało WŁ — wydano potem w Warszawie.

Jest oczywiście dość powszechną praktyką proponowanie przez autora swej książki jednemu czy drugiemu wydawnictwu. Fakt, że wydawnictwu X nie odpowiada proponowana praca, ani nie przekreśla jej wartości, ani nie dowodzi, że ta sama praca nie będzie odpowiadać innemu wydawnictwu. Tak się dzieje od dawna wyjąwszy, rzecz prosta, pozycje genialne, choć też nie zawsze. Ale genialnych pozycji nie mamy — jak wiadomo — zbyt wiele, przynajmniej do czasu, kiedy członkowie warszawskiego Koła Młodych nie wkroczą wielką, ambitną literaturą na księgarski rynek. Masowo i ze śpiewem.

Zanim to jednak nastąpi, w produkcji wydawniczej, będą książki lepsze i gorsze, bardziej i mniej udane, a także niewypały. I nie wydaje mi się, aby to zjawisko miało wiele wspólnego z geografią, żeby wydawnictwa centralne były wolne od pomyłek, a całe odium niepowodzeń, błędów wydawniczych można było zrzucić na oficyny pozawarszawskie. Spośród wydanych w ostatnim roku książek mogę znaleźć rzeczy opublikowane „lekką ręką" w „Iskrach" czy LSW z równą łatwością, z jaką autor „Kultury" znajduje je w Lublinie i Łodzi.

Pomijam już nawet tak drobny fakt, że książka „Drzewa chylą się w jedną stronę" nie jest chyba literackim oleodrukiem i jeśli zasługuje na krytykę — to na kpiny na pewno nie. Ale przecież to oczywiście nie ma żadnego znaczenia. Książkę tę już raz wykpiono w „Kulturze", czyli znalazła się na liście do bicia, więc tylko czekać, jak ją zaczną tarmosić inni młodzi gniewni (na zawołanie) krytycy.

Zastanawia mnie też w artykule „Śmietnik wydawniczy" owa zdumiewająca pewność siebie, połączona z dziecinną nieznajomością rzeczy, kiedy czytam, że wydaje się książki, aby „wykazać się wykonaniem planu". Choć środowiska literackie Łodzi, Poznania czy Lublina nie są tak liczne jak warszawskie, to jeszcze nie zdarzyła się w tych wydawnictwach sytuacja, aby na siłę „gonić" plan wydawniczy, bądź sztukować go warszawskimi „odrzutami". Autor artykułu mało wie o sytuacji wydawnictw prowincjonalnych — wrażenia zastępują mu znajomość rzeczy.

Zastanawia mnie również protest autora przeciwko naukowym publikacjom wąsko-specjalistycznym z historii literatury. Chociaż nie są to książki przeznaczone dla masowego czytelnika, to przecież stanowią trwały dorobek humanistyki polskiej! Autor umieszcza je w „śmietniku", odsyła do kąta, gdzie stoi powielacz i kserograf — odmawia prawa druku! Co za hunwejbin się objawił na warszawskim bruku!

Ale nie żartujmy. Artykuł w „Kulturze" porusza istotne i palące problemy polityki i praktyki wydawniczej, stawia też wiele tez słusznych. Na jego ogólnej wymowie zaważył jednak ton „warszawski", nonszalancja w stosunku do spraw zza rogatek stolicy, i trudno oczekiwać, żeby czytelnik „Kultury" z Łodzi, czy Lublina mógł przyjąć przedstawione tam opinie bez zastrzeżeń.

**JERZY WIDOK**

WENZELL BROWN

# ŚWIAT KOBIET

Poślubiając Marinę wiedziałem, że jestem jej siedemdziesiątym mężem. Trudno się temu dziwić, bo kobiety żyją teraz nieskończenie dłużej niż mężczyźni. Marina ma obecnie prawie trzysta lat, a ja dwadzieścia.

Czytałem kiedyś, iż dawniej różnica wieku mężczyzny i kobiety ograniczała się do kilku lat. W tym czasie, świat należał do mężczyzn, trwały wojny. Lecz przyszło odkrycie cudownej substancji znanej ogólnie jako „K". Eliksir młodości wynalazła przypadkowo pewna kosmetyczka.

Jak wiadomo „K" działa tylko na kobiety, zastrzyki stosuje się raz na rok. Dzięki nim kobiety zachowują na zawsze młodość i piękność, podczas gdy trwanie życia mężczyzny jest ograniczone do wieku, jaki istniał przed setkami lat, czyli przed odkryciem „K". Z biegiem czasu dysproporcja między dwiema płciami zaznacza się coraz silniej. Według statystyk przypada obecnie trzydzieści pięć kobiet na jednego mężczyznę. Obliczono, że za dwa stulecia mężczyzna stanie się rzadkością.

Marina martwi się tym. A ja, choć widzę przed sobą perspektywę krótkiego życia, muszę przyznać, że wzamian za to mam to życie pełne przyjemności, jestem traktowany przez kobiety jak bezcenna zabawka, nie potrzebuję pracować.

Muszę wspomnieć jeszcze o jednym. Kobiety zaszczepione substancją „K" rodzą przeważnie dzieci płci żeńskiej, ogółem w proporcji: pięć dziewcząt na jednego chłopca.

Od wielu lat uczeni chemicy pracują nad odkryciem męskiego odpowiednika substancji „K", któremu dano już nazwę „M". Wydaje się na to olbrzymie sumy, lecz dotychczas bez powodzenia.

Najsłynniejszym uczonym w tym zakresie jest bez wątpienia Cyril Harding. Jego poszukiwania od dwudziestu lat finansuje Marina. Urządziła mu gigantyczne laboratorium, w którym pracuje kilkunastu asystentów. Wzamian za to postawiła profesorowi warunek: jeżeli kiedyś uda mu się wynaleźć formułę „M", ona musi być pierwszą osobą, która się o tym dowie.

Moja żona jest kobietą bogatą i utalentowaną. Była młoda, gdy odkryto substancję „K". Mimo swych trzystu lat wygląda jak na fotografii z pierwszego ślubu, gdy miała dwadzieścia lat.

Zgromadziła swe bogactwo bez większego wysiłku. Obecnie wszystkie majątki ziemskie, przemysłowe, nieruchomości są w posiadaniu kobiet, które odziedziczyły je po swych mężach. Marina okazała się osobą bardzo praktyczną, pierwsi jej mężowie byli magnatami przemysłu i handlu. Poza tym ma instynktowny węch do spraw finansowych, nikt by tego nie podejrzewał patrząc na jej zgrabną figurkę i błękitne, naiwne oczy. Ona zawsze wie czego chce, wie co powinna uczynić, aby osiągnąć swój cel.

Na przykład ja. Marina upatrzyła mnie sobie, gdy byłem jeszcze dzieckiem. Troszczyła się, aby mi niczego nie zabrakło, otaczając wszelkimi wygodami. Miękkie łóżko, delikatna bielizna, smaczne potrawy, wyszukane zabawki. Lecz jednocześnie stosowała pewną dyscyplinę często niezgodną z moimi dziecięcymi nawykami. Widziała we mnie swego przyszłego męża. Byłem wychowywany z troskliwością, jaką się poświęca cieplarnianej roślinie. Zabroniono mi wszelkich zabaw, które przedstawiały jakieś niebezpieczeństwo. Byłem chroniony ze wszystkich stron, ponieważ każde nieszczęście mogłoby udaremnić plany Mariny.

Czasami Marina lub inne kobiety, które troszczyły się o mnie, opowiadały mi o dawnych czasach, gdy mężczyźni rządzili światem. Działy się wówczas rzeczy straszne: były wojny, w których zabijano ludzi, odbywały się dzikie popisy sportowe, gdzie mężczyźni tłukli się pięściami. Ulice wielkich miast były smutne, pozbawione kwiatów. Architektura zimna, bezbarwna. Dominowały wszędzie zbrodnia i gwałt. Mężczyźni spędzali całe życie na ciężkiej pracy i gonitwie za zarobkiem, aby utrzymać żony i potomstwo!

Jakże wszystko wygląda dziś inaczej! Sam fakt, że człowiek jest mężczyzną oznacza, że się będzie pieszczonym od kolebki do grobu.

Jednak to prawda co mówi profesor Harding, że po odkryciu substancji „K" postęp na polu techniki zaczął gwałtownie maleć. Nie wykorzystuje się wielu osiągnięć technicznych. Teraz dalekie linie powietrzne nie są używane, gdyż mało jest kobiet pilotek, a z drugiej strony życie mężczyzny zbyt się ceni, żeby narażać je w tak niebezpiecznym zawodzie. Nawet autobusy miejskie z ich luksusowym wnętrzem cierpią na alarmujący niedostatek personelu.

Marina lubi czasem drażnić się z profesorem odpowiadając mu, że dzięki niewykorzystaniu broni nuklearnej ludzkość może żyć bezpiecznie. To prawda, że wybudowano niewiele nowych drapaczy chmur. Wzamian za to kobiety projektują domy wygodne i estetyczne. Komfort — to hasło obecnego życia.

Słuchając tego Harding pomrukuje, że istnieją jeszcze inne rzeczy prócz łatwego życia. Jednakże w końcu Marina zwycięża w dyskusji, zresztą każdy ulega jej czarowi.

Ślub z Mariną odbył się pięć lat temu, w dniu moich dwudziestych urodzin. Muszę przyznać, że jest żoną bardzo tolerancyjną, nie robi mi wymówek z powodu flirtów z innymi kobietami. Uważa to za rzecz naturalną i nieuniknioną. Nie mam złudzeń co do mojej pozycji w domu: jestem tylko pieszczonym i psutym pieskiem. Marina dobrze wie, że gdybym stracił luksus, którym mnie otoczyła, poczułbym się człowiekiem skończonym.

Aż do czasów małżeństwa nie miałem nigdy przyjaciół męskiego rodzaju. Później poznałem Cyrila Hardinga. Profesor ma 56 lat, lecz jest już prawie siwy i trochę pochylony. Może wyglądać na ojca Mariny i takim się czuje. Harding nastraszył mnie kilka razy. Przez jakiś czas namawiał, żebym się wziął do nauki, chciał, abym mu pomagał w badaniach naukowych. Gdy stwierdził, że mu się to nie uda, próbował zainteresować mnie sportem, pracą i innymi męskimi zajęciami. Lecz na próżno. Tylko czasem odzywały się we mnie atawistyczne ciągoty, wyobrażałem sobie dzień, w którym mężczyzna znów zapanuje nad światem, a kobieta zejdzie na pozycję drugorzędną.

Płomień buntu nigdy nie trwał długo, Marina umiała go stłumić, podając uspokajające lekarstwa, przygotowując wystawne obiady z egzotycznymi trunkami. Potem wyciągałem się na miękkim tapczanie, Marina siadała przy mnie i gładziła moje włosy.

— Nie bierz na serio tego, co opowiada Harding—mówiła przekonywającym tonem. — Przypuśćmy, że odkryje substancję „M", czy wiesz co by to znaczyło? Świat zapełniony mężczyznami — to pewna wojna. Chcesz być ranny, zeszpecony, zabity? Powiedz, czy podobała by ci się praca w okropnym biurze, w hałaśliwej fabryce?

Cóż miałem odpowiedzieć?... Tak wyglądały sprawy aż do dziś. Skończyłem śniadanie w łóżku i zszedłem w jedwabnej piżamie na parter, żeby dowiedzieć się, co Marina zaprojektowała dla mnie na ten dzień. Usłyszałem jej głos w oranżerii. Po chwili zaczął mówić profesor, był czymś podniecony. Z kilku jego słów zrozumiałem, że eksperymenty w sprawie substancji „M" zbliżały się do szczęśliwego zakończenia!

Nagle Harding zobaczył mnie w drzwiach oranżerii. Zatrzymał się w połowie zdania, niepewny czy może mówić dalej. Lecz Marina uśmiechnęła się do mnie. — Wejdź tu, Jamie, profesor przyniósł nadzwyczajną wiadomość. Nareszcie wynalazł substancję „M"'

— Nie, Marino — poprawił ją Harding — nie tak wygląda sprawa. Od dłuższego czasu jestem na tropie „M", a teraz wierzę, iż trzymam jej sekret w ręku. Brak mi jeszcze jednego doświadczenia, ostatniego... Dziś wieczorem będę wiedział.

Marina głaskała jego kościstą rękę. — Cyril, czy dotrzymał pan obietnicy, nie powiedział pan o wynalazku nikomu, prócz mnie?

Harding zniecierpliwił się. — Naturalnie, zawsze dotrzymywałem słowa. Ale teraz wie także Jamie...

Marina roześmiała się i stanęła przy mnie. — Proszę się nie przejmować, na pewno nas nie wyda. Jeszcze jedna prośba: żeby pan nie dyskutował dziś na ten temat z nikim. Musimy uczcić ten cudowny wynalazek tylko we troje i zdecydować w jaki sposób powiadomić o tym świat.

Profesor zgodził się, był trochę zasępiony. Marina odprowadziła go od głównych drzwi. Usłyszałem jej srebrzysty głos: — Cocktail o godzinie 19, czekam!

Gdy wróciła pocałowała mnie w usta. Byłem niespokojny i zapytałem: — Marina, co teraz będzie?

— Nie myśl o tym, wszystko pójdzie dobrze, już ja się tym zajmę. A ty masz się tu zjawić o umówionej porze.

Popołudnie spędziłem jak w gorączce miotany na przemian uczuciem radości i przygnębienia. Czy „M" otworzy jakiś nowy świat, czy też przywróci ten stary?

Kwadrans przed 19 wchodziłem do salonu Mariny. Była już tam. Pokojówka przyniosła cocktail i oddaliła się. Marina

*Fot. W. Pietrzyk*

wskazała mi miejsce obok siebie na kanapce. A potem zaczęła mówić tym swoim tonem — niskim, hypnotyzującym, którego używa, gdy chce mnie nagiąć do swej woli.

— Jamie, to nie może stać się, nie powinno. Świat cudowny, spokojny, wygodny, który stworzyły kobiety, ulegnie zburzeniu w krótkim czasie!

Mówiła dalej przekonującym głosem, lecz ja czułem się zbyt zmieszany, aby to pojąć. Chwytałem tylko niektóre słowa: „wojna... bomby... okrucieństwo... praca... współzawodnictwo... koniec wszystkiego co piękne..."

Zatrzymała się, czekając abym zebrał myśli i potem zakończyła: — Muszę przeszkodzić Cyrilowi, rozumiesz to, prawda?

Skinąłem głową nic nie mówiąc. Może byłem rzeczywiście zahypnotyzowany? — Tak, masz rację — wyjąkałem wreszcie. — Lecz co możesz zrobić?

Roześmiała się. — Ależ to bardzo proste, patrz! — Wyjęła z torebki pudełeczko, otworzyła. Leżały tam białe pigułki. — Trucizna — rzekła słodkim głosem. — Bez zapachu, nie pozostawia śladów. — Wzięła kieliszek, który stał na stoliku przy ulubionym fotelu Hardinga. Wrzuciła pigułkę do złotawego płynu.

Wpatrywałem się zafascynowany w kieliszek z trucizną, gdy usłyszałem metaliczny dźwięk kraty, która oddzielała laboratorium profesora od naszego ogrodu. Marina wstała i wyszła przywitać Hardinga.

Zostałem sam w pokoju. Ogarnęła mnie panika. Zataczając się podszedłem do okna. Zobaczyłem Hardinga, szedł przez ogród z podniesioną głową, w jego postawie była duma i radość. Wzruszyło mnie to. „Jesteśmy obaj mężczyznami — myślałem. — Niedługo świat znów będzie nasz, staniemy się panami, obrońcami naszych praw"...

Los ludzkości był w tej chwili w moich rękach... Wymieniłem kieliszki Mariny i Hardinga... Na werandzie słychać kroki, Marina śmieje się... Ostatni raz...

**Opracowała A. S.**

## *Lewym okiem*

### *MA PAN RACJĘ, ALE...*

*Oto, co wyczytałem w „Głosie Robotniczym" z 29 stycznia, w rubryce, w której zamieszcza się ciekawe, godne pochwały i „wdrożenia" (to jedno z najmodniejszych zaklęć...) pomysły:*

*„szkoła podstawowa w Lubochni, pow. Rawa Maz., nabyła kredę produkcji ZPT „Astra" w Przemyślu. Niestety, kreda nie nadawała się do użytku, ponieważ była za twarda. Woźny naszej szkoły, p. Stanisław Madzio, wpadł na pomysł, aby tę kredę po prostu przepalić, po czym otrzymaliśmy kredę wysokiej jakości. Piszemy ten list, bo podobne kłopoty z kredą mają z pewnością inne szkoły i może zechcą skorzystać z naszych doświadczeń".*

*Oczywiście — brawo dla pana Stanisława, ale coś mi tu... Coś jak gdyby... Nie, chyba się nie mylę, chyba to jest świetna, gospodarna, przyszłościowa koncepcja. Chyba należy ją upowszechnić, co?*

*Ktoś na przykład kupił sznurowadła, które się rozłażą w palcach. Niech nie psioczy na producenta, tylko po prostu niech opracuje racjonalny sposób wiązania supełków.*

*Nie narzekajmy na twardy jak dykta befsztyk w lokalu zbiorowego żywienia. Można go przecież po prostu rozklepać, dosmażyć, doprawić, przybrać papryczką i doprowadzic do stanu „wysokiej jakości".*

*„Jeżeli „mamy kłopoty" z włożeniem na nogę nowego buta, bo gwoździe sterczą w środku i przeszkadzają, to należy poprosić najbliższego woźnego, żeby pomyślał i już następnego dnia mamy rozwiązanie: gwoździe należy po prostu usunąć czy wyklepać.*

*Kreda była za twarda, a zdarzyć się może, że krany ciekną ciurkiem, bo są zrobione z metalu zbyt miękkiego. Co na to woźny naszej szkoły? Siada i opracowuje metodę utwardzenia metalu domowym sposobem. Potem bez oporów kupuje się miękkie krany, twardą kredę, buty z gwoździami, befsztyki z dykty i sznurowadła z kurzu i po prostu doprowadza do jakiej takiej użyteczności. Jak ktoś jest bardzo zdolny i ma za dużo czasu, to nawet może mu się udać osiągnięcie „wysokiej jakości". Jesteśmy przecież narodem genialnych improwizatorów!*

*Jednocześnie odpowiednie zakłady przemysłowe, nadziane specjalistami, wyposażone w najnowsze licencje, instytuty, pracownie, pełne kosztowców, młodzieżowców, wzorcarzy i brakarzy będą nadal produkować kredę, „niestety nie nadającą się do użytku".*

*Czytałem też niedawno o planowym, celowym doprowadzeniu poprzez różnego rodzaju manipulacje licencjowo-podatkowe do likwidacji prywatnych wędzarni ryb, bo prywaciarze zaczęli kupować sobie samochody i budować domy. Jednocześnie — czytałem w tym samym artykule — likwidowały się samorzutnie wędzarnie uspołecznione, bo były nierentowne.*

*Jednocześnie zakopywało się całe połowy ryb, które nie mogły się doczekać uwędzenia. Ojej, ojej. Jak człowiek nastawi ucho i oko (choćby lewe), to często usłyszy coś takiego, że nie sposób schować z uśmiechem do kieszeni. Więc próbuje się pytać, wyjaśniać, oburzać. Wtedy właśnie przychodzi czas na ów historyczny zwrot (nie ma go w Słowniku Frazeologicznym Skorupki, ale powinien tam się znaleźć w następnym wydaniu): „Pan ma rację, ale..."*

*Dawniej myślałem, że jeśli ktoś ma rację, jeśli mu ją nawet przyznaje rozmówca, to obaj powinni zgodnie i natychmiast rację tę upowszechnić, propagować, „WDRAŻAĆ" — i według niej postępować. Otóż nie. Można mieć rację, ale jest jeszcze „ale", po którym już w ogóle nic nie zostaje. Potem się lata po ulicy ze swoją (przyznaną przez rozmówców!) racją, podtyka pod nos temu i owemu, ręka cierpnie, racja ciąży, ludzie omijają, dzieci lecą za maniakiem i robią zyg, zyg...*

*Pan Madzio oczywiście jest sympatycznym i zaradnym człowiekiem, taki woźny to skarb dla szkoły w Lubochni, powiat Rawa Maz. Najpiękniejszą reakcją na cytowany list kierownika tej szkoły byłoby jednak nie — „korzystanie z doświadczeń" przez inne szkoły, tylko wycięcie tęgiego łupnia Zakładom „Astra" w Przemyślu za nieprzepalanie kredy. Bo to w Przemyślu powinna być produkowana kreda wysokiej jakości nie w piecyku pana Stanisława. Mam rację?*

*Ma pan, panie Ćwiek, ale...*

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-71, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł, kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumerate przyjmuja wszystkie placówki pocztowe listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 398. S-5.